Nr. 17. Warszawa, dnia 25 (13) Kwietnia 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

FATALNA PRÓBA.

Jeżeli Bismark nie przestawał zajmować świata nawet jako „pan na Warcinie i Friedrichsruh," to tem bardziej obchodzi wszystkich, gdy występuje na arenę publiczną z wyraźnym zamiarem pogromcy byków. Przyjmując deputacyę z Kielu w chwili, gdy postawiono jego kandydaturę do sejmu niemieckiego, rzekł on: „Życzeń moich nie zwracam przeciw obecnemu rządowi; pragnę tylko, ażeby on pamiętał o przysłowiu łacińskiem: *quieta non movere* (rzeczy spokojnych nie ruszać), jako o najwyższej zasadzie państwa. Nie mówię tak z chęci stawiania oporu, ale dlatego, że obchodzi mnie pomyślny rozwój tych stosunków, do wytworzenia których pomagałem. Żądano ode mnie, ażebym przestał zajmować się polityką. Nie zdarzyło mi się słyszeć większej głupoty, niż to niesłychane wymaganie. Rzeczoznawcy przy publicznem traktowaniu spraw, należących do ich zawodu, mają największe prawo, a w pewnych warunkach obowiązek zabrania głosu; sądzę zaś, że w długoletniem urzędowaniu nabrałem niejakiego znawstwa. Mój udział obecny może się tylko objawić przeważnie w kierunku *negatywnym*, nikomu jednakże nie pozwolę zakazać sobie wypowiadania sądu kompetentnego." Przemowa ta i wskazane w niej stanowisko opozycyjne byłego kanclerza świadczą wyraźnie, że on zamyśla wystąpić do walki i rzucać na szalę swoje „rzeczoznawstwo" w każdej sprawie, w której rząd nie odpowie jego życzeniom.

Bismark z początku mniemał, że zgryzie w sobie gniew za usunięcie go z urzędu, że mu jako upust dla żółci wystarczy telefon *Hamb. Nachrichten*, którym ciągle alarmował i osypywał niegrzecznościami rząd, a pytany: „kto mówi" — udawał redaktora gazety hamburskiej. Upewniał nawet swych wielbicieli, że w ciszy wiejskiej znajduje szczególne zadowolenie, że rozkosznie zasypia codzień z głową wolną od ciężaru odpowiedzialności itd. Wszystko to były albo złudzenia, albo „dobre miny wobec złej gry." Porzucił też je i szepnął na ucho swym przyjaciołom, ażeby mu otworzyli drzwi do areny publicznej. Usługi tej podjęła się dawna jego czeladź — narodowo-liberalni, którzy postawili go jako kandydata do sejmu w 19 okręgu hanowerskim. Czyniąc to, musieli oni wykonać widoczną woltę polityczną. O ile bowiem Bismark przyznawał się do jakiegoś stronnictwa, uważał się zawsze za konserwatystę; ponieważ zaś konserwatyści wystawić go nie chcieli, a narodowo-liberalni jako nieswojego nie mogli, więc ogłosili go za kandydata narodowego. Dzięki temu obrotowi przed wyborcami stanął duch (ciało pozostało we Friedrichsruh) „bohatera historycznego," „pierwszego męża wieku," „wielkiej osobistości." Tytuły te nietylko ulżyły służalczemu sercu narodowo-liberałów, ale nadto odejmując kandydaturze Bismarka charakter partyjny, powoływały ogół do składania w urnie głosów za nim. Nie zaimponowały one jednak ani postępowcom, ani welfom, ani socyalno-demokratom, którzy „fundatorowi jedności niemieckiej" przeciwstawili swoich reprezentantów. Do ostatniej chwili jednakże reżyserowie tego widowiska spodziewali się powodzenia, wierzyli, że wybór Bismarka będzie rodzajem odpowiedzi na plebiscyt — na odwołanie się do narodu. I zawiedli się ze swem bożyszczem daleko sromotniej, niż im złośliwość życzyć mogła. Gdyby bowiem „bohater historyczny" zwyciężył był swych przeciwników bodaj słabą większością, rozdęliby ją wykrętami i okrzyknęli tryumf; gdyby był przepadł zupełnie, napiętnowaliby wrogą agitacyę; ale on ocalał tak, że musi się poddać wyborowi ściślejszemu — i to z kim? Z nieznanym nikomu robotnikiem w fabryce cygar. Bismark, „pierwszy mąż wieku," największy z wielkich, o którym mawiano, jak o Periklesie, że „na jego ustach spoczywa przekonanie narodu," on musi walczyć o zwyczajny mandat poselski z „obskurnym" najmitą fabrycznym! Nie, takiej zniewagi ani on sam, ani nikt dla niego nie oczekiwał. Zniewaga ta przedstawia się jeszcze gorzej w cyfrach głosowania, niż w jego rezultacie. Przedewszystkiem okazało się, że niebywale mała ilość wyborców przybyła do urny, czyli że oni traktowali sprawę bardzo obojętnie. Powtóre, w tymże okręgu niegodny rozwiązać rzemyczka u sandałów Bismarkowskich Benningsen od r. 1867—1881 był siedem razy wybierany odrazu i nie potrzebował poddawać się głosowaniu ściślejszemu. Po trzecie, podczas gdy poprzedni deputat z tego okręgu, skromny śmiertelnik Gebhardt otrzymał 8,086 głosów, „zapalające nazwisko" Bismarka ściągnęło zaledwie 7,557. Nie dość tego, los był jeszcze niemiłosierniejszym. Kiedyś Bismark rzucił w sejmie frazes, że nie miałby nic przeciwko trzem tuzinom posłów socyalno-demokratycznych; obecnie grupa ich liczy 35, a z 36-ym, brakującym do trzeciego tuzina, on musi ubiegać się o mandat! Jak gdyby zmyślona ironia doli ludzkiej.

Ten prąd opinii — dziś już bardzo szeroki — który Bismarka bądź nienawidził, bądź wskazywał niszczące skutki jego polityki, czerpie z tego faktu dowód słuszności swoich uczuć i zapatrywań, a nadewszystko niepopularności człowieka, który przez wiele lat był półbogiem narodu. Jego wielbiciele rozdzierają szaty z rozpaczy, przeklinając nieszczęśliwy pomysł ofiarowania Bismarkowi mandatu. „Jeżeli chciano mieć go koniecznie w sejmie — powiada *Reichsbote* — należało postawić jego kandydaturę w takim okręgu, gdzie byłby wybrany gładko w pierwszem głosowaniu znaczną większością; ale trzeba było oszczędzić nam tego dziwnego widowiska wyboru ściślejszego, który rani serce wszystkich patryotów. Ukazuje ono bowiem całą nędzę naszego życia politycznego przed światem, który powie: jest to hańbą dla Niemiec, ażeby ks. Bismark, mąż stanu, któremu one zawdzię-

czają spełnienie żywionych przez całe wieki pragnień, stawał do wyboru ściślejszego z jakimś socyalno-demokratycznym robotnikiem cygar."

Świat nie tak powie— ale mniejsza o to. Ów wylew głębokiej boleści przekonywa wszystkich, do jakiego stopnia próba powszechnej czci dla Bismarka wypadła okropnie, a on wyszedł z niej skompromitowanym. Dla Niemiec będzie ona miała znaczenie pierwszorzędnej wagi. Pewne bowiem w nich żywioły, pomimo ukorzenia się przed wolą cesarską, wierzyły, a przynajmniej usiłowały wmówić w ogół, że wola ta rozminęła się z życzeniami narodu, że Bismark ciągle posiada jego zaufanie i przywrócony do władzy byłby przyjęty z nadzwyczajnym zapałem. Z półsłówek nawet kapłanów tego kultu przebłyskiwała myśl, że po odejściu olbrzyma Niemcy zaczynają się chwiać w swych podstawach i ulegać rozprzężeniu, a zagranica lekceważy ich siłę. Wszystkie te bańki mydlane prysły, a z niemi zbladł urok, jaki w innym wypadku otaczałby Bismarka posła. Teraz bowiem przeciwnicy mogą jego narzucającą się powagę odeprzeć uzasadnionem twierdzeniem: nie masz zaufania narodu, nie wyrażasz jego pragnień, bo ledwie zwyciężyłeś przy wyborze prostego najmitę. Jeżeli były kanclerz powiedział istotnie: *le roi me reverra* i miał tę nadzieję, to chyba teraz z nią się rozstał. Król może go zobaczyć, ale nie przy sobie. Odprawiwszy sługę nieznośnego i zuchwałego, nie przywoła zdyskredytowanego. „Wszystko skończone" — mówił Bismark później zwątpiały i wtedy miał słuszność. Tak, wszystko skończone. Pozostanie mu tylko z trudem zdobyty mandat poselski.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

VII.

Wybory rabina paryskiego. — Bank Francyj. — Algier i Tonkin. — Groźby hr. d'Haussonville'a. — Socyalizm chrześcijański.

Za naszych czasów, gdy łóżko bogatej baby najkrótszą jest drogą do karyery, gdy literatura zamieniła się na zwykłą budę, w której pisarze wygłaszają swe „ideały," „na miejscu i na wynos" po 1½ do 5 kop. od wiersza, gdy pod pozorem patryotyzmu miliony „ludności zbytecznej" prowadzone są peryodycznie do szlachtuza — hypokryzya religijna musiała dobiedz swego szczytu. Nie mówimy o tych barbarzyńcach, którzy radośnie się znęcają nad swemi niemowlętami, kalecząc ich ciało na cześć srogiego bóstwa — przypuszczenie darwinistów, iż człowiek przed milionami lat wyłonił się ze świata zwierzęcego jest wobec takich zjawisk stanowczo przesadne: zdaje się, jakoby on wczoraj dopiero odczepił się od społeczeństwa czworonożnych. Ale co powiedzieć wobec ateistów, wynoszących pod niebiosy dobroczynność i wspaniałość religii, co powiedzieć wobec faryzeuszów siejących nauki, w które sami nie wierzą?

Są to oszuści spekulujący na ciemnocie, hypokryci stosujący prawo popytu i podaży do własnego sumienia. Taką bandę łotrów przedstawia większość żydowskich wolnomyślicieli we Francyi, którzy według własnego oświadczenia „nie wierzą i nie praktykują," a jednak namiętnie dobijają się przeprowadzenia swych kandydatów na miejsce rabina paryskiego, którzy z pianą na ustach głoszą konieczność dla mas religii, dla nich samych niepotrzebnej. Burżuazya żydowska czyni to samo, co i katolicka: z ciemnoty i zabobonów kuje sobie oręż klasowego panowania. A masy? Masy radują się, widząc zapał religijny swej inteligencyi. Gdy spoglądam na tych nieszczęśliwców, wydaje mi się nieraz, iż mają czaszki przezroczyste: tam, w złożonym mechanizmie mózgu widzę jeden odwieczny sztyfcik — zabobonu. Ręka hypokrytów gra na nim zawsze z powodzeniem. Zupełną słuszność miał Marx, gdy mówił, iż „pierwszym krokiem na polu społecznej emancypacyi powinna być emancypacya religijna."

Monopol Banku Francyi został odnowiony na lat 23, a ponieważ termin obecnego upływa w r. 1897, więc nowy trwać ma aż do 1920 — jeżeli *nb.* bogowie inaczej nie postanowią. W tych czasach bowiem najwspanialsze gmachy budowane są na piasku. Profesor Gide bardzo wymownie charakteryzuje w swym „Przeglądzie" *) rolę, jaką powyższa instytucya odgrywa we Francyi. „Można być republikaninem lub legitymistą, katolikiem lub wolnomyślnym, bankierem lub kmiotkiem — wierzy się w Bank Francyi nawet wówczas, gdy się już w nic nie wierzy. Jest coś zabobonnego w szacunku, który tę instytucyę otacza. Olśnionym wyobraźniom przedstawia się ona siedzącą na workach wypchanych miliardami, beznamiętną pośród przewrotów i odwieczną, jak złoty posąg Buddy. Widzieć upadek rządu lub dynastyi jest dla francuza bagatelą; ale przypuścić nietylko upadek, lecz choćby wstrząśnienie Banku jest dlań hipotezą okropną, z którą umysł jego w żaden sposób pogodzić się nie może." Przyjrzyjmy się bliżej temu wszechmocnemu bóstwu. Wszystkie statuty Banku datują się od r. 1806, gdy wydane zostały przez Napoleona. Nie ulegną też najmniejszej zmianie aż do r. 1920, chociaż nadużycia, które pod ich cieniem się kryją, są powszechnie znane. Zarząd spoczywa w zamkniętem kółku kilkunastu potentatów — głównie Rotszylda i jego kreatur. Na wierzących zlewa bóstwo złoty deszcz: dywidendy wynosiły w r. 1890 aż 160 fr. (akcye 1000 frankowe). Niesłychane te zyski zagarnia tylko wyższy świat finansowy. Bank Francyi jest „bankiem bankierów," ze zwykłymi śmiertelnikami nie ma on bezpośrednich stosunków. Banda rozbójników, żyjąca naród w najlegalniejszy sposób tak, jakby w inny sposób nigdy żyłować się nie ośmieliła, przytacza na swe usprawiedliwienie „olbrzymie usługi," jakie kredytowi Francyi oddaje. Nie ulega wątpliwości;

*) *Revue économique*, marzec 1891.

KARTKI Z DOMU OBŁĄKANYCH.

Maniacy.

Był cichy wieczór. Drzewa w szpitalnym ogrodzie owinęły się w szarą mgłę i usnęły. Ciemne gęste chmury zaległy widnokrąg i zastygły. W głębokiem milczeniu siedzieliśmy z moim chorym przyjacielem w ogrodowej altanie.

Zapatrzyłem się w chmury... Na wschodzie widzę rumowiska świątyń: potrzaskane kolumny, sterczące gzemsy, zwalone pomniki — i cząstka twórczej siły, co niegdyś wzniosła Panteon, szybując w mej myśli, jęła odtwarzać zniszczone gmachy, budzić nieznanych rycerzy, wznosić ołtarze nieistniejącym bogom. Strwożony potęgą widm, wyzwolonych z nicości mą własną wyobraźnią, obróciłem wzrok na zachód.

Tu obraz był inny. Zgromadzone z różnych stref: dęby rozłożyste, palmy wyniosłe i brzózki karłe — bratnio się łącząc, stworzyły gąszcz nieprzebyty. Słońce, rzucając na widzialną część nieba ostatnie promyki, zapaliło wierzchołki drzew. Chętna wyobraźnia jęła wnet pytać: co się stanie ze zwierzętami w owej płonącej puszczy. I oto widzę, że gotują się do ucieczki: tu sterczy z gęstwiny głowa nosorożca, tam — dzika, ówdzie — żubra. Na dalekim zaś widnokręgu tygrys zaczaił się na zmykające z puszczy łanie.

Mrok gęstniał — pożar gasł.

Między ruiną i puszczą szaro-błękitnawa przestrzeń, niesplamiona żadną chmurką, niby bezdenna przepaść, nie pozwalała zmierzyć swej głębi ani wzrokiem, ani wyobraźnią. Napróżno sięgałem w jej wnętrze; najzuchwalszą myśl połykała bez śladu, naigrawała się, trwożyła chłodem, milczeniem, tajemnicą... A jednak nie była martwa, bo mrugała ze swej głębi iskrzącą się gwiazdką.

— Patrz, jak ładne niebo — zauważyłem, zwracając się do przyjaciela.

Obojętnie powiódł wzrokiem po fantastycznych chmurach i zatrzymał go na gwiaździe. Wtem zerwał się, uchwycił mię za rękę i drżąc ze wzruszenia, szepnął:

— Nareszcie!

— Uspokój się — rzekłem — nic nadzwyczajnego, gwiazda jak inne.

Nie słyszał mię. Stał sztywny, nieruchomy niby posąg i z zachwytem patrząc na niebo, powtarzał:

— Czas już czas...

Po chwili odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu spadł ciężar z piersi i osuwając się na ławkę, zapytał:

— Wiesz, jak się to światło nazywa?

Powstałem, wyszedłem z altany i rozejrzałem się po niebie. Tu i ówdzie w przestrzeni niezakrytej chmurami pierwszorzędne gwiazdy już się tliły. Zestawiając ich wzajemne położenie, zdziwiłem się: ta, którą widzieliśmy, nie była mi znana.

— Naprożno liczysz — szyderczo zauważył towarzysz — jest to światło nowe, ostatnie słowo przyrody—Omega — rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem. Przypominam sobie, że jedna z mgławic w tarczy Sobieskiego zowie się Omegą, lecz o gwiaździe tej nazwy nie słyszałem.

Zerwał się, podszedł ku mnie, iskrzącem okiem powiódł po niebie i rzekł:

— Wiedza podobna jest do gmachu: im wyżej wznieść się pragnie, tem trwalszą powinna mieć podstawę. Nikt nie buduje z góry, jeno z dołu. Zacznijmy od ziemi.

To mówiąc, pociągnął mię do altany i tajemniczo szepnął:

— *Cogito — ergo sum...*

Zapominając, że rozmawiam z obłąkanym, zauważyłem:

— Przecie to nic ma żadnej z gwiazdą styczności.

— Tss — szepnął, kładąc palec na usta, poczem obejrzał się i rzekł:

— Darwin dowodzi, że objawem życia ziemskiego jest doskonalenie się ruchu i pojęć, a więc natura ma cele! — dokończył z tryumfem.

— Nie widzę tego... Mniemam, że skoro zmieniają się na ziemi warunki bytu, zmieniają się i twory ziemskie.

— Doskonalą się, czy stają się niższemi? — zapytał uśmiechając się chytrze.

— Juźci — odparłem — zestawiając monadę z człowiekiem, musimy przyznać, że się doskonalą.

— Aha! — zawołał radośnie — pojęcia i ruchy doskonalą się... To znaczy, że kiedyś były niedoskonałe, a więc i najnie-

ależ bank spełnia tylko funkcyę społeczną, którą by mogło wykonywać państwo swym kredytem, nie udzielając nikomu najmniejszej dywidendy. Szczęśliwi akcyonaryusze łupić będą kraj jeszcze w ciągu 30 lat na następujących warunkach. Oprócz prolongaty monopolu Bank otrzymuje prawo zwiększania rozmiarów swego obiegu o 500 milionów (obecny wynosi 4 miliardy!). Państwo natomiast otrzymało odroczenie zwrotu 140 milionów, które Bankowi winno, na 30 lat bez procentów i 2,5 mil. fr. rocznego dochodu. Jak objaśnić ten ohydny handel, na którym tylko Bank zyskał? Tem mianowicie, iż potentaci Banku mają w swem ręku wszystkie sprężyny rządu i władzy. Oni są państwem tam, gdzie trzeba wydawać prawa, które im zapewniają zyski; w tej dziedzinie państwo jest wszechmocne. Ale tam, gdzie się rozpoczyna pewna odpowiedzialność, oni państwem być przestają: gdy trzeba wydać jakieś prawo na korzyść klas upośledzonych — państwo staje się bezsilnem. Nawet tak umiarkowany ekonomista, jak Fournier de Flaix zapytuje z powodu odnowienia monopolu: „Czyż Bank francuski, pozostający aż do chwili obecnej takim, jakim go Napoleon siłą dekretów stworzył, potrafi w ciągu 30 jeszcze lat odpowiadać nowym potrzebom, zrodzonym przez ciągłe zmiany? Czy można pozostawić 15 regentom, rekrutującym się w oligarchicznem, ściśle zamkniętem kółku, wolne rozporządzenie największym bankiem globu, z obiegiem 4—5 miliardów?“ *).

W starczej ględzarni, parlamencie francuskim, od czasu do czasu odbywają się dość ciekawe rozprawy. Obrady o Algierze, niedawno ukończone, odkryły światu dość ponury obraz. Polityka asymilacyi prowadzona jest w sposób barbarzyński. Tubylcy traktowani są jako naród podbity, jako zdobycz, którą trzeba złupić. Cywilizacya, tj. towary francuskie narzucane są siłą bagnetów i podatków. Arabowie płacą osobny haracz, od którego francuzi, a nawet cudzoziemcy są wolni. Sprawiedliwość wymierzana jest po francusku ludziom, którzy nie rozumieją ani słowa z tego języka. Oświata stoi na nizkim poziomie. Nic dziwnego, iż ludność poddana tego rodzaju assymilacyi, przypominającej postępowanie z najgorszymi zbrodniarzami, średnio tylko jest zadowolona z dobrodziejstw kultury francuskiej. Stąd ciągłe bunty. Toż samo dzieje się i w Tonkinie, gdzie załoga kilku fortec znowu wyrznięta została przez „piratów“ — jak donoszą dzienniki urzędowe.

Hrabia Paryża odebrał kierownictwo partyi orleanistycznej p. Bocher i wręczył je hrabiemu d'Haussonville. Wybór to znaczący, gdyż hrabia jest znany jako zwolennik polityki nieprzejednanej. Przy odgłosie trąb wojennych nowowybrany zapowiedział Rzeczpospolitej, iż w polityce rojalistycznej nastąpi nowa era. Epoka pokoju ma być stanowczo zakończona, a armia monarchiczna ulegnie nowej i ściślejszej organizacy. Hrabia d'Haussonville obiecuje „odbudować w kraju opozycyę.“ Nie ukrywa też bynajmniej istotnego jej znaczenia. „Nie mogę dopuścić — powiada — aby partya monarchiczna mogła istnieć, nie wypowiedziawszy jasno, iż cel, do którego dąży, polega na odbudowaniu monarchii.“ Widzimy więc, iż zmiana frontu jest zupełna. W walkach wyborczych ostatnich lat kilku rojaliści wszędzie prawie powstrzymywali się starannie od kwestyonowania panującej formy rządu; trzymali się wyłącznie na gruncie konserwatywnym; oskarżali rząd, iż tyranizuje sumienia, niszczy kraj. Nie mówili wszakże o obaleniu Rzeczpospolitej — taka była polityka pana Bocher. Obecnie na nowo głoszą hasła czystej restauracyi. Powodem tej zmiany ma być odstępstwo p. Pion i jego grupy od hr. Paryża.

Jako reakcya przeciw socyalizmowi chrześciańskiemu hr. de Muna, kard. Manninga i papieża utworzyło się w Paryżu „Société catholique d'economie politique,“ które wypisało na sztandarze swym hasła czysto liberalne. Założycielami są Hubert Valleroux, René Lavollée i in. Jest to zjawisko pocieszające z tego względu, iż rozproszy nieporozumienia, wywoływane przez rozmaite socyalizmy katolickie, protestanckie itd. Sprzedają się tu środki doczesnego polepszenia bytu, a wszelkie życzenia za dobrą opłatą zostają zaspokojone. Kościół umie stosować artykuły wiary do wszelkich potrzeb.

L. W.

*) *Revue ec.*, luty 1891 r.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Od pewnego czasu prasa zagraniczna wznieca niepokoje „wiosenne,“ przepowiadając stosunkom międzynarodowym poważne zawikłania. Jakie ręce kręcą korbą tych grzmotów i w jakim celu — nie wiadomo. Sama spekulacya giełdowa, wywołująca strachami sztuczne zwyżki lub zniżki papierów publicznych, nie wystarcza dla objaśnienia tego faktu, który musi mieć głębszą przyczynę. Upłyniony termin mianowania gubernatora Rumelli wschodniej oraz wypadki w Bułgaryi dostarczyły alarmistom pożądanego materyału do szerzenia obaw. Zdaje się wszakże, iż oni wkrótce zakończą swą robotę: codzień bowiem mnożą się dowody, przekonywające, że rok bieżący dojdzie do swego kresu w spokoju. Wpłynął na to dość skutecznie brukselski *Nord*, którego wywody powtórzył *Journ. d. St. Petersbourg*. Oznajmia on z powodu ukończenia się pełnomocnictwa ks. Ferdynanda, jako gubernatora Rumelii, że Rosya zamierza trzymać się polityki dotychczasowej, nie mieszać się do spraw bułgarskich i nie poruszać kwestyi niebezpiecznej dla pokoju europejskiego, posiadającego większą wartość, niż wszystko, co się dzieje w Bułgaryi. Oświadczenie to rozprasza jedną z chmur, która zwykle rzuca największy cień na widnokrąg polityczny.

Cesarz niemiecki miał znowu jakąś energiczną przemowę do oficerów w Kielu, której wątek jednak nie przedostał się na widok publiczny. Uchwycono tylko z posłuchów dwie nici: hołd złożony Reformacyi i ufność w męztwo armii. Obie to nici Wilhelm II już dawniej rozsnuwał, jeżeli zaś *Reichsanzeiger*, który dotąd mowy monarszej nie podał, nie ogłosi jej wcale, to prawdopodobnie dlatego, ażeby harmonii pokoju nie zakłócić brzękiem pałasza. Wprawdzie brzęk ten: „mam nadzieję, że w potrzebie armia złoży dowody tej samej waleczności“ itd. — powtarza się przy każdej sposobności, ale w pewnych drażliwych chwilach lepiej uniknąć nawet tak niewinnych zwrotów retorycznych, ażeby w nich nie dopatrzono pogróżki.

---

doskonalszemi, tj. nie było ani pojęć, ani ruchu. Zważ teraz: jeśli coś wychodząc z niebytu staje się stopniowo najpierw nieświadomym ruchem, potem instynktem, wreszcie myślą, logicznie wnosić można, że w dalszym ciągu zmieni się w absolutną świadomość; a to znaczy, że natura ma cele, że dąży do poznania samej siebie... Rozumiesz, gdyby na ziemi nie istniało ja, niebyłoby i pojęcia. Ja — jest to narzędzie, którem przyroda stara się odczuć, poznać siebie. Bez człowieka, bez jego myśli, natura postradałaby świadomość, stałaby się niczem.

Zamilkł, opuścił głowę i pogrążył się w zadumie. Mniemałem, że się uspokoi, lecz po kilku chwilach, raczej do siebie, niż do mnie, zaczął mówić znowu.

— Na początku, gdy nie było myśli, była natura. W jej łonie bierność i energia spały snem głębokim, letargicznym. Sen ów nie był życiem, ponieważ był stanem nieświadomości przebudzenia. Był to chaos przestrzeni, lecz nie czasu. Gdzie niema zjawisk, tam niema chwil, niema świadomości, ani potrzeby czasu. Aż zrodziło się w głębi natury pytanie: czem jestem? I odtąd powstał czas, powstała przyroda ze stanu nieświadomości, aby poznać swe jestestwo. Owóż zgromadziła zasób energii i rzuciła ją w obszary: zawrzał ognisty ruch... Bierność, ujrzawszy się samotną, zdążyła ku energii i zniszczyła jej pracę.

— I wszystko się skończyło — przerwałem półżartem.

— Nie wszystko... Przyroda, nauczona doświadczeniem, zebrała większy zasób ognistych atomów i nim bierność zdołała zniweczyć energię, wytworzyła instynkt, następnie wypracowała myśl, aż przyjdzie czas, gdy zgromadzi taki zasób ruchu, że wystarczy go na stworzenie absolutnej świadomości.

Nachylił się do mego ucha i dodał:

— Jeśli na maluczkiej ziemi zrodziła się myśl, jakaż ona będzie u dzieci słońca? Porównajmy ich energię, a przestaniesz wątpić, że Omega stworzy absolutną świadomość.

— Dziękuję ci za taki wynik — zauważyłem. Wcale mię nie cieszy owa Omega, skoro moje ja, jako próbka, musi zginąć w odmęcie czasu.

— W naturze nic nie ginie. Lavoisierowi wierzysz, gdy ci mówi o atomach materyi, wierz i mnie, gdy ci mówię o atomach myśli. Władza nasza ograniczona, cząstkowa, nie może ogarnąć wszechświata; absolutna zaś myśl zawrze w sobie przeszłość i przyszłość. Wszyscy natenczas ujrzymy się w swej własnej i wzajemnej świadomości... Będzie to niebo i piekło zarazem. Niebo dla tych, co krzewili myśl, a więc i dla mnie — dokończył potrząsając nerwowo rękami.

Tchnące głębokiem przekonaniem dowodzenia oszołomiły mię; pod ich wrażeniem szepnąłem:

— W każdym razie jest to myśl piękna.

— Piękna — powiadasz... piękna... a widzisz! Pocóż tedy więzicie mię?

— Nikt cię nie więzi — odparłem, przypominając z kim mówię — jesteś zdenerwowany, chory, powinieneś się uspokoić.

— Uspokoić się! Dobroczyńcy, lekarze. Siemię rzucacie do tłoczni, bo dobyć olej, z mózgiem ludzkim czynicie to samo—i gdy się rozmiażdży, produkt zdobyty przedajecie na wagę i miarę.

Wziąłem go za rękę i powstając, rzekłem:

— Pójdźmy do pokoju.

— Po co? W jakim celu?

— No, choćby dlatego, że powinieneś się uspokoić, że czas ci do spoczynku, a mnie do domu.

Roześmiał się gorzko, szyderczo i odparł.

— Mędrcy! Każdy krok, czyn każdy wykonywacie w pewnym celu. Na innych planetach twory myślące mają też swe cele... tylko jedna przyroda podług waszego przekonania jest bezcelową — wspaniała logika! Pytanie: z jakiego tedy źródła zaczerpnęliście pojęcie o celowości, skoro w przyrodzie ono nie istnieje?..

...Skąd wiecie, że nasz okres nie jest jeno cząstką przeszłych i przyszłych zjawisk natury? Na jakiej zasadzie, nie znając jej tajemnic, nazywacie swój świat wiecznym? Ażali nie jesteście czynnikami niezmierzonych celów przyrody! Nie możecie ich zgłębić, boście stworzeni do walki z otaczającym mrokiem, nie zaś dla absolutnej wiedzy. Spełnicie swe zadanie należycie, inne, przyszłe światy spełnią swoje i stanie się zadość celowi przyrody.

Podniósł głowę i głosem namiętnym, drżącym ciągnął.

— Gdyby przyroda była bezmyślną i bezcelową, nie mogłaby stworzyć świadomego „ja“ i wskazać mu celów; skoro zaś zawiera w sobie myśl i cele, zawiera je w nie-

Że *Figaro* paryski usiłował wykraść i wykradł osnowę testamentu Hieronima Napoleona, że zadowolił ciekawość swych czytelników, że odsłonił francuzom tajemnicę, która ich interesowała — to naturalne i zrozumiałe. Ale zajęcie się prasy ostatnią wolą księcia, który sam nie posiadał i potomkom swoim nie przekazał żadnego znaczenia, wytłomaczyć sobie można tylko politycznem bezrybiem, na którem i rak staje się rybą. A więc z tej racyi zanotujemy krótko, że nieboszczyk wydziedziczył starszego syna Wiktora ze wszystkiego, z czego mógł go wywłaszczyć, głównym zaś swoim spadkobiercą uczynił młodszego, Ludwika. Pierwszemu zabronił nawet uczestniczyć w pogrzebie, nazwał go „zdrajcą i buntownikiem“; drugiemu oprócz majątku pozostawił garstkę upomnień tak nieokreślonych, jak nieokreślonym był charakter zmarłego. „Celem jego dążeń — pisze on — powinna być organizacya (?) demokracyi francuskiej. Niech przejmie się trwałą i głęboką miłością ludu, tudzież *postępu naukowego*, który jest wielkiem prawem ludzkości. Niech szanuje *uczucia religijne*, niech będzie przedewszystkiem francuzem i patryotą.“ Jakim ten Ludwik ma być, z pewnością nie wie, jak nie wiedział jego ojciec.

Stronnictwa austryackiej Rady państwa, ciągnące rydwan w najrozmaitsze strony, nie przyjęły dotąd żadnego wspólnego adresu do korony, będącego odpowiedzią na mowę tronową. Galicyanie obstają przy swoim, młodoczesi — przy swoim, niemcy — przy swoim itd. Olbrzymia jeszcze ilość trudów będzie zużyta na stopienie tych różnic i odlanie tekstu, zatwierdzonego przez większość. Naturalnie musi to być odlew z najbardziej pustych ogólników, w które każda partya może sobie włożyć, co jej się podoba. Jeżeli zaś przy tej ostatecznie drobnej sprawie tyle odbywa się targów, to można mieć wyobrażenie, jak przeciskać się będą ważniejsze. Szczerze mówiąc, nie mamy dokładnego pojęcia, skąd hr. Taaffe poczerpnie mądrość i siły do kierowania łodzią państwową przy załodze, w której każde wiosło inaczej się porusza. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, łódź ta, jeżeli się nie wywróci, stać lub kręcić się będzie na miejscu.

Wystawa czeska, pomimo usunięcia się od niej niemców, będzie otoczona opieką najwyższych sfer urzędowych. Otworzy ją brat cesarski, a i sam monarcha ma przybyć. Dla uśmierzenia młodo-czechów postanowiono widocznie okazać ich narodowi większe, niż dotychczas względy. Zrozumiała to *Politik*, która w liście otwartym do ministra oświaty domaga się utworzenia na uniwersytecie prazkim katedry prawa historycznego czeskiego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

„SACHSENGÄNGEREI.“

Stulecia V—VII naszej ery nazwano epoką „wielkiej“ wędrówki ludów. Lecz jeśli przyjrzymy się z blizka temu okresowi dziejów i postaramy się określić liczebnie rozmiary tłumów, poszukujących nowej siedziby, ze zdumieniem spostrzeżemy, że uczestniczyło w tej słynnej wędrówce około trzech, najwyżej pięciu milionów ludzi. Tymczasem, gdybyśmy podjęli podobne poszukiwania statystyczne dla chwili obecnej i w zakresie tegoczesnego międzynarodowego obszaru wymiennego, otrzymalibyśmy cyfry, przerażające wprost swoją potwornością i ogromem. Zatrzymajmy się chociażby nad objawami prądu „emigracyjnego“ z Europy do krajów zamorskich, polegającego, jak wiadomo, na tem, że człowiek raz na zawsze opuszcza swój kraj ojczysty i idzie szukać nowej ojczyzny. Otóż za okres czasu od 1871 do 1887 wyszło jedynie do Stanów Zjednoczonych z Europy z górą pięć milionów ludzi! W wieku VI emigracya ta sama przewyższyłaby swoimi rozmiarami „wielką“ wędrówkę ludów! W tej liczbie z W. Brytanii wywędrowało około dwóch milionów osób; z Niemiec nieco mniej. Do Argentyny w przeciągu lat 1885—1888 przybyło do pięćset tysięcy; do Urugwaju przez 1887 i 1888 około stu tysięcy; do Brazylii w okresie 1885—1888 około półtora sta tysiąca. W tym samym czasie (1885—1888) Australia i N. Zelandya otrzymały z Europy przeszło milion nowych obywateli. Lecz emigracya zamorska daje bardzo słabe pojęcie o natężeniu tego ruchu ludzi i przechodzenia ich z miejsca na miejsce, jakie przedstawia oczom badacza bieżąca doba dziejowa. Wszak należałoby uwzględnić jeszcze żyjących po za granicami kraju, lecz niezrywających z tym ostatnim i powracających po krótszym lub dłuższym przeciągu czasu do ojczyzny! Następnie trzebaby jeszcze doliczyć osoby, które opuszczają kraj chwilowo — na kilka dni lub miesięcy. Jak olbrzymią musi być ta ostatnia kategorya, o tem można powziąć niejakie wyobrażenie z ilości paszportów, wydanych chociażby w jednem cesarstwie ruskiem. W 1888 wjechało w granice tego państwa za paszportami 278 tysięcy (w tej liczbie tylko 50 tys. poddanych ruskich), za czasowymi na krótki termin biletami zaś około miliona stu tysięcy (w tej liczbie tylko 400 tys. poddanych ruskich); wyjechało za paszportami 280 tys., za biletami krótkoterminowymi 1,066,000. Wreszcie dla uzupełnienia obrazu tej nowoczesnej wędrówki ludów wypadałoby jeszcze dodać ludzi, przenoszących się z miejsca na miejsce wewnątrz kraju. Ten cyfrowy, suchy, statystyczny szkielet pozwala nam ocenić wyniki kulturalne, jakie za sobą pociąga owo zmienianie siedziby. Wymiana myśli, ujednostajnianie kultur, zmiatanie prowincyonalizmów i zaściankowości idą w parze z tym szybkim obiegiem jednostek społecznych.

Nie możemy tu objąć wszystkich objawów tego procesu, zatrzymamy się tylko nad jednym — nad wędrówką coroczną ze wschodnich prowincyj państwa niemieckiego do zachodnich. Ruch ten znany jest w Niemczech pod nazwą techniczną: Sachsengängerei *), czyli jak go tłomaczą dosłownie w Poznańskiem — „obieżysastwa.“ Zresztą musimy zaznaczyć, iż nazwa ta ma raczej znaczenie historyczne, niż bieżące, gdyż obecnie wędrówka do Saksonii jest tylko jednym z licznych potoków prądu wychodźczego. Rozmiary jej są nader zna-

*) Korzystamy z pracy Karola Kaergera: *Die Sachsengängerei*. Praca ta, bogata niezmiernie faktami, jest pisana w duchu ziemiańskim.

---

ograniczonej ilości, gdyż sama jest bezgraniczna...

Wtem... stało się coś nieprzewidzianego. Omega drgnęła, potoczyła się po niebie niby iskrzący strumyk — i zgasła.

— Meteor! — zawołałem mimowoli przerażonym głosem i spojrzałem na chorego.

Był blady, siny, drżący. Ścięgna twarzy naprężyły się jak cięciwy, oczy zaryły się jak węgle.

— Pójdźmy — szepnąłem, biorąc go za rękę.

Drgnął, spojrzał na mnie... złowieszczy, tygrysi blask zapłonął mu w źrenicy.

— Ha, to ty gasicielu! — ryknął, porwał ławkę i straszną siłą cisnął ją we mnie. Cofnąłem się za drzewo. Ławka uderzyła o nie i z trzaskiem rozbiła się na kawałki.

Zadyszany wpadłem do gabinetu doktora.

— Panie, mój przyjaciel dostał napadu szału, o mało mię nie zabił w ogrodzie.

— Zapewne dotknąłeś pan drażliwych strun jego duszy.

Wkrótce dozorcy wiedli chorego do celi. Przechodząc kolo gabinetu, dojrzał nas, targnął się jak lew i ryknął:

— Wy tutaj gasiciele!.. Znam was: ziemię kładziecie do tłoczni... światło pod korzec... Doczekacie, zgaszę was jak świeczki łojowe, jeno swąd pozostanie!

Gdy go odprowadzono, doktór zapytał mię:

— O czem rozmawialiście? Niech mi pan szczegółowo opisze.

Gdy mu opowiedziałem, rzekł z rozwagą:

— Dziwny wypadek! Nie rozumiem jednak, jak pan mogłeś słuchać owych bredni i starać się je zbijać.

— Ależ mój panie — zawołałem — on rozprawiał logicznie, a nawet mądrze.

Psychiatra uważnie mi się przypatrzył i rzekł:

— Pan jesteś zdenerwowany, radziłbym wziąć kąpiel i udać się na spoczynek.

* * *

We dwa dni zaszedłem do szpitala, lecz mi nie pozwolono odwiedzić chorego. Gdy przybyłem po tygodniu, doktór rzekł:

— Przyjaciel pański — w malignie. Niewiele mu chwil pozostało; jeżeli chcesz go pan widzieć, pójdźmy.

Zbliżyłem się do łóżka chorego i — zląkłem się: zaledwiem mógł go poznać. Był blady, wycieńczony, prawie bezwładny. Ujrzawszy nas, zadrżał całem ciałem i wyszeptał:

— Gasiciele... światła choć jedną iskierkę!

Po chwili zamknąłem mu powieki.

W ciągu dwu następnych dni krzątałem się, jeździłem, robiłem przygotowania do pogrzebu, starałem się zaprzątnąć myśl drobiazgami — napróżno. Surowa Nemezys włóczyła się za mną jak cień i wciąż wyrzucała przedwczesny zgon męczennika... Gdyby nie ja, możeby wyzdrowiał, żył, pracował, myślał. Niewiele mu pozostało do odzyskania zdrowia: wyrzec się jeno swego systematu, zapomnieć o nim... Czy mógł zapomnieć? Idee — to polipy, zaledwie dotkną twej istoty, już zginąłeś: skrępują ci ruchy, wyssą krew, zniszczą siły... Nadomiar gdy walczysz z ową fatalistyczną siłą, gdy tarzasz się w malignie, ubodzy duchem potrząsają głowami, szepcą: waryat, maniak, bzik, przestępca. Lecz nim dokończą wyrazu, inny polip już się wgryzł w ich organizm. Polip tem straszniejszy, że się karmi jeno substancyą mózgu. Na zewnątrz są zdrowi, ruchliwi, to też nikt dojrzeć nie może, iż czaszki ich są puste, nikt ich nie oddaje do szpitala, nie leczy... Nikt nie chce zrozumieć, że ów bezzasadny popęd do tarzania się w pyle, żółci, krwi, popęd do wytwarzania jadu jest manią straszną, bo mającą na celu poniżenie człowieka, zniszczenie wszelkich myśli...

Cogito — ergo sum. Jaki zdrowy sądł Dążenie do absolutnej świadomości — jaki wielki cel — i to się nazywa obłąkaniem. Więc cóż nazwiemy stanem zdrowym?

Poszedłem do pamiętnej mi altany, usiadłom na ławce i samotny walczyłem ze strasznym polipem, co mię ciągnął do przepaści — jeszcze chwila, a zamkną mię w celi po moim towarzyszu... Wtem rozległ się dźwięczny głos:

— Dzień dobry, panie.

Podniosłem głowę. Przede mną stał starzec dobroduszny, uśmiechnięty. Ukłoniłem się mu.

— Smuci pana śmierć przyjaciela—rzekł, siadając przy mnie—i nie dziw: był to człowiek wielkich zalet, a jednak... może lepiej, iż wreszcie odpoczął. Był to wieczny męczennik i na nieszczęście męczennik idei czczej, bezzasadnej, sprzecznej z ustrojem i dążnością społeczeństw ludzkich.

czne. Od pewnego czasu władze pruskie zajęły się odnośną statystyką, lecz dokonywane obliczenia są bardzo niedokładne. Dr. Kaerger zestawia je dla r. 1889 i ocenia razem na 71½ tysięcy osób, w tej sumie prowincya brandeburska dała 14½ tysięcy osób, pomorska 3, zachodnio-pruska 13, Ks. Poznańskie 15, wreszcie Szląsk 21 tys. Z Poznańskiego i Szląska przeważnie wychodzi ludność polska, jako uboższa. Warto przyjrzeć się stosunkowi procentowemu wychodźców do każdomiejscowej ludności. Wspomniany autor w tej mierze podaje drobiazgową statystykę — gmina po gminie. W powiecie czarnikowskim znajdujemy takie gminy, jak Krucz, w której 16,3% ludności udaje się na obieżysastwo; z Karoliny 12,1%, z Sokołowa 19%. W powiecie ostrowskim widzimy gminy, dające po 22% z pośród ludności do zastępu obieżysaskiego (Biernacice). Słowem, wychodźctwo ogarnia potężny procent ludności w niektórych okolicach. Kaerger zestawił dla różnych miejscowości z jednej strony rozmiary emigracyi, z drugiej zaś czysty dochód z gruntu. Oba szeregi cyfr wszędzie postępują w odwrotnym stosunku, tj. obieżysastwo jest tem większe, im wielkość czystego dochodu spada w gminie niżej. Innemi słowy, ubóstwo ludności stanowi główne źródło obieżysastwa. Ciekawą też jest statystyka obieżysasów ze względu na wiek i płeć. Z pośród ludzi, którzy wyszli z pow. kolmarskiego, 38% stanowi młodzież obojga płci poniżej 20 lat wieku i 21% poniżej 30, reszta jest w wieku lat 20—30. Lecz cyfry te są najwyższe z przytoczonych u Kaergera, o ile chodzi o wiek starszy. Jeśli zatrzymamy się nad innemi tablicami, procent młodzieży zwiększa się. Zamiast 21% powyżej 30 lat wieku, widzimy tylko 18, 9, nawet 4%! Słowem, obieżysastwo zagarnia żywioły młode, najpodatniejsze do przejęcia się nowymi zwyczajami, najłatwiej rozstające się z pojęciami swojego otoczenia. Z drugiej strony rzuca się w oczy nader silny udział w obieżysastwie żywiołu kobiecego. O wzajemnym stosunku procentowym obu płci powiadamia nas szereg specyalnych tablic w książce wspomnianego autora. Otóż kobiety wynoszą tutaj 64%, 75%, 40%, 70%, przytem w porównaniu z mężczyznami śród płci żeńskiej przeważa wiek młody. W ten sposób obieżysastwo głównie porywa kobiety, pierwiastek względnie nieruchliwszy i stateczniejszy w społeczeństwie. Tłumy te, wywabione z kraju, a raczej wygnane, co wiosna ciągną całemi gromadami w stronę prowincyj zachodnich i powracają do domu dopiero późną jesienią. Saksonia, Anhalt, Brunszwik, Hannower, Westfalia spożytkowują te siły robocze i to głównie na swoich plantacyach buraków cukrowych. Dla ułatwienia tego wychodźctwa ukazało się odpowiednio zorganizowane pośrednictwo. Każdy większy majątek w zachodnich prowincyach posiada swoich faktorów, którzy kontraktują na Szląsku lub w Poznańskiem żądaną liczbę najemników i wysyłają ich kolejami. Drogi też żelazne w stosowne pory roku przedstawiają ciekawy widok gromad ludzkich, ciągnących raz w jedną, to znowu w drugą stronę. Naturalnie, nie wszyscy wracają do domu. Według świadectw urzędowych, 2,4% obieżysasów z kolmarskiego, 17,7% z czarnikowskiego pozostało się na obczyźnie (pierwsza cyfra jest mniej więcej przeciętna). Natomiast dziewczęta przybywają do domu często w ciąży.

Wspominaliśmy, że ubóstwo jest źródłem obieżysastwa. Jest to w części prawdą. Ażeby w całości skreślić mechanizm tego prądu, winniśmy dodać, że drugą ważną przyczyną jest rozmaity i nader odmienny rozwój kulturalny zachodnich i wschodnich prowincyi państwa pruskiego, uwidoczniający się między innemi w bardzo różnorodnym poziomie zarobków. W Saksonii np. stosunki patryarchalne zupełnie zostały zniszczone. Furman otrzymuje we dworze płacę tygodniową, ordynaryo wszelkiego rodzaju w naturze są zupełnie rzeczą nieznaną; dwór buduje pewną liczbę domostw i wydzierżawia je parobkom, którzy za nie uiszczają w gotówce odpowiednie komorne. Z powodu obfitości zakładów przemysłowych w kraju, siły robocze wiejskie dążą do miast, gdzie płaca zawsze jest wyższą, obfitość zaś rozrywek—znaczniejsza. Robotnik wiejski jest przeto drogi; co więcej niepodobna go dostać w takich krytycznych chwilach, jak pielenie i podkopywanie lub sprzęt buraków. Tymczasem zarobki w Poznańskiem i na Szląsku nie dochodzi niekiedy i połowy tego, co wynoszą na Zachodzie, nadto zbywa tu systematycznie na zajęciu, gdyż rąk do pracy jest względnie więcej, aniżeli zapotrzebowania. Pod wpływem tej nierówności i przy olbrzymiem staraniu środków przewozowych ukazuje się obieżysastwo. Człowiek, przyzwyczajony w domu do niskiej płacy i małych potrzeb, udaje się latem do plantacyj buraczanych, styka się z ludnością, posiadającą wyższe wymagania, oszczędza nadto pewną kwotę zarobku i wraca, aby z niej żyć zimą a jednocześnie, aby wnieść do swego otoczenia wyższy poziom życiowy. Niepodobna też odmówić obieżysastwu pewnego znaczenia cywilizacyjnego. Kaeger na podstawie zebranego przez siebie materyału faktycznego, oblicza możliwe oszczędności z zarobku, otrzymanego w plantacyach. Wynoszą one, jego zdaniem, dla dziewcząt przeciętnie 120 — 180 marek, dla mężczyzn daleko mniej. Niekiedy jednakże, jeśli dziewczę prowadzi nędzniejszy tryb życia, wzrastają one do 270 i nawet 300 marek. Wymienia on przypadki, kiedy dziewczyna po kilku latach zebrała wcale pokaźny posag. Naturalnie, oszczędności byłyby daleko większe, gdyby obieżysasi pędzili dosłownie ten sam żywot, co w domu. Lecz w gruncie rzeczy, przeniewierzają się zasadom ojczystym i w plantacyach ciężą nieco w kierunku miejscowego poziomu kulturalnego. „Sposobności do wydania pieniędzy jest tutaj, w bliskości małych i wielkich miast oraz wyższej kultury, daleko więcej. Z oświadczeń, które otrzymałem na miejscu, mogę powiedzieć z całą śmiałością, że mężczyźni, zwłaszcza wyrostki, tracą większą część swojego zarobku już latem. Kupcy znowu z miasteczek wschodu zapewniali mnie, że obieżysaski są najlepszemi kundmankami; z chwilą ich powrotu do chaty ojców, sprzedaż doznaje w sklepach takiego powiększenia, iż niekiedy trzeba pomnożyć personel subjektów. Ludzie zupełnie bezstronni opowiadali mi, że zwykle można w wiosce odróżnić obieżysasów z łatwością od reszty mieszkańców, gdyż chodzą w lepszem ubraniu. Ta staranność w przyodziewku pochodzi nietylko stąd, że człowiek posiada gotówkę, lecz wprost jest wynikiem naśladowania wzorów, widzianych w kraju wyższym kulturalnie. Zwłaszcza można to powiedzieć z ca-

---

— Dlaczego sprzecznej?

— E, mój panie, wszystkie te gwiazdy, cele, cała ta absolutna świadomość— zaślepienie, nic więcej; rzecz objaśnia się prościej i łatwiej... Uważasz mój panie: świat jest stworzony zupełnie nie dla myśli, jeno dla życia maluczkich mikroskopijnych tworów.

— Jakto?

— Rzecz prosta... Pewna grupa owych istot, znanych pod nazwą korali, żyje w kanałach krzemiennych, inne utworzyły kolonie w gąbkach... Przyroda spostrzegła, że pierwsze i drugie twory zbyt zależą od otaczających je czynników: skoro warunki ich bytu zmieniają się choć w małym stopniu, kolonia ginie. Udoskonalając tedy mieszkania owych żyjątek, wytworzyła takie, które się mogą przenosić z miejsca na miejsce, które samo umieją szukać warunków dogodnych dla bytu zawartych w nich tworów. Człowiek —jak gąbka —nie jest żadną istotą, jeno powłoką zewnętrzną... W głębi kanałów tej powłoki, tj. w żyłach mieszczą się pewne białe i czerwone ciałka, czyli po prostu mikroskopijne żyjątka, karmiące się tem, co powłoka dla nich zdobędzie i przygotuje. Zważ mój panie, w każdym sześciennym centymetrze twojej krwi żyje owych istot koło pięciu milionów, nie dziw więc, że musisz być zabiegliwym, starannym... Walka o byt — jest walką o zachowanie życia owych maluczkich tworów. Miłość jest popędem do wytwarzania nowych gąbek dla ich mieszkań; mądrość stara się zabezpieczyć ich całość, zachować od szwanku. Praca, powinność są niczem innem, jak pełnieniem woli owych maluczkich istot, one bowiem są wszystkiem, one jedne mają znaczenie w przyrodzie. Gdy są w ruchu, człowiek żyje, skoro giną, postać ludzka, jako gąbka wyrzucona na brzeg morski, jak skielet koralowy traci racyę bytu.

...Tak, tak mój panie—dokończył uśmiechając się, poczem wstał, skinął głową i odszedł.

— Jakto? — zawołałem w trwodze — więc mój przyjaciel w tej chwili jest tylko gąbką wyrzuconą na piasek?

Starzec obejrzał się na mnie i dobrodusznie skinął głową.

— Waryaci! Z wami i ja zwaryuję — mruknąłem przerażony i uciekłem...

Zaledwie wróciłem do domu, zaledwie odetchnąłem, niespokojna myśl jęła szeptać:

— Czemże więc jesteś: gąbką czy cząstką uświadomienia przyrody?

Gorąco mi się zrobiło od tego pytania. Zerwałem się, wybiegłem z domu. Wypadkiem zabłądziłem do ogrodu publicznego. Tu w cieniu drzew wrócę do równowagi... Wtem widzę, jakiś poważny jegomość usiadł na obszernym ganku hotelu i kazał sobie podać obiad. Jadł wiele, długo, żarłocznie. Napróżno śledziłem na jego obliczu ślady pytań, wahań — nic myślał o niczem.

— Człowiek jest gąbką! — zawołałem i wybiegłem z ogrodu.

Zachodzę do świątyni. Widzę starca — kapłana błogosławiącego lud. Widzę, jak wzniósłszy oczy ku niebu, zatopił się w niem, zapomniał o zatargach, o maluczkich celach ziemskich. Czystą dłonią czerpie ze źródła miłości idee święte i szczepi je w sercach ludu.

— Człowiek jest cząstką świadomości — szepnąłem uspokojony.

Byłem na wieczorze. Widziałem królowę balu, wyniosłą, wdzięczną, uśmiechniętą, kokietującą okiem, ruchem, obnażoną piersią. Szukałem na jej obliczu wyrazu myśli, ideałów, uczuć — i nie dostrzegłem.

— Człowiek jest gąbką — rzekłem.

Podążyłem do pracowni mędrca. Zatopił się w głębokich badaniach, zapomniał o śnie, jadle, o czatujących nań pod drzwiami intrygach, złorzeczeniach, klątwach. Uśmiechał się, wzlatał pod błękity, unosił z pod stopni tronu Zeusa iskry święte i rzucał je na świat.

— Człowiek jest cząstką wszechmądrości — rzekłem.

Gdym wrócił wreszcie do domu, gdym zestawił moje wrażenia, zadałem sobie pytanie:

— Czemże jest człowiek: gąbką czy cząstką ogólnej świadomości?..

Płonne pytanie — nie umiem odpowiedzieć... a jednak...

Cogito — ergo sum.

Brolis.

łą pewnością o obuwiach. Dziewczęta, pochodzące z górnego Szląska i wogóle z dzielnic, gdzie język polski jest w użyciu, chodzą boso w pierwszym roku swego okresu obieżysastwa, zwolna jednak, znajdując się wciąż śród obutej ludności wiejskiej, zaczynają uczuwać jakiś zakłopotanie i wstyd, a wreszcie sprawiają sobie trzewiki.“ Zauważyć można jeszcze inny wpływ: przebywanie pomiędzy ludnością, ktora jest przyzwyczajona do lepszego pożywienia, przyucza obieżysasów do mięsa i innych potraw, wracają też oni do domu z odpowiedniemi wymaganiami. Równie Kaergera zapewniano niejednokrotnie, że powracający wychodźcy przynoszą z sobą do domu różne ulepszone narzędzia, przyrządy i naczynia i wprowadzają je w swoim kraju w użycie. Lecz jednocześnie obieżysasi z wędrówki swojej przynoszą mnóstwo innych naleciałości, które miejscowemu dworowi, panom świeckim i duchownym każą spoglądać okiem bardzo niesympatycznym na skutki wychodźtwa zarobkowego. Przedewszystkiem ludzie wracają hardzi, buntowniczy, pozbawieni niekiedy dotychczasowej wiary; są oni rozsadnikiem rozmaitej wolnomyślności i wodzami wioskowych sprzysiężeń w kierunku wymożenia u dworu większej płacy. Pojęcia dziewcząt o posłuszeństwie przyszłemu mężowi i tradycyjna wstydliwość ustają równie, dziewczyna zmierza ku równoprawności. Dodajmy wreszcie do tego wszystkiego, że obieżysastwo, ile ogarnia ludność polską, jest poniekąd środkiem germanizacyjnym. Mieszkaniec wioski poznańskiej wraca z pojęciem o wyższości kultury niemieckiej, z przyzwyczajeniami najemników niemieckich, z pewną pogardą dla miejscowych swojskich stosunków i obyczajów.

Obieżysastwo znajduje licznych wrogów. Z jednej strony jest to ludność wiejska zachodnich prowincyi. Obieżysas występuje tutaj jako wysoce niebezpieczny współzawodnik, gdyż, przyzwyczajony do niższych wymagań i niższego poziomu życiowego, podkupuje miejscowe ręce i zmusza je wynosić się dalej — po lepszy zarobek. Wyrzucony zaś wędruje do miasta i z kolei podkupuje miejskiego robotnika, który znowu przed niższą płacą ucieka do Anglii lub Ameryki północnej, gdzie czyni to samo względem ludności miejscowej. Z drugiej strony ziemianie poznańscy witają obieżysastwo bardzo niechętnie. Chodzi im niby o to, że wędrówka ściera z człowieka polskość, w gruncie zaś rzeczy gniewa ich głównie to, że dzięki wychodźctwu stopa zarobków podnosi się. Gdyby bowiem powodowali się pierwszą pobudką, z łatwością zdołaliby zatrzymać całe obieżysastwo, podnosząc odpowiednio stopę zarobkową. W tem też znajduje swoje wyjaśnienie namiętność, z jaką obywatel poznański walczy o zniesienie rozporządzeń rugowych Bismarka. Galicyanin, przyzwyczajony do daleko niższej płacy, niż poznańczyk, winien zająć miejsce opróżnione przez obieżysasa. Za niższą płacę niż poznańska będzie on pracował chętnie i jeszcze robił oszczędności.

W ten sposób stoimy u źródła jednej z fal tegoczesnej wędrówki w międzynarodowym obszarze wymiennym. Rozpoczyna się ona w Galicyi. Galicyanin wyrzuca poznańczyka, ten sasa, sas berlińczyka; mieszkaniec Berlina anglika, który znowu wynosi się do Ameryki lub Australii. Inna fala bierze początek w Węgrzech 'i przez Austryę dolną i Czechy, Niemcy, płynie równie w tym samym kierunku. Jeszcze inna tryska w Piemoncie, przelewa się do Szwajcaryi i Francyi. Ostatnie zbiegają się w koloniach zamorskich. Obieżysastwo wskazało nam sprężynę, następstwa i owoce tego bezustannego poruszania się ludów w nowoczesnej wędrówce.

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE BADANIA W ZAKRESIE PSYCHOLOGII *).

Zjawiska poddawania hypnotycznego były poruszano w literaturze naszej przeważnie z punktu anegdotycznego; przytaczano fakty i doświadczenia, uderzające nadzwyczajnością; zwracano uwagę na praktyczną stronę zjawiska, na zastosowanie w medycynie, pedagogii, bodaj nawet w prawie, ale mało zajmowano się analizą psychologiczną tych objawów. Może więc nie bez interesu dla czytelników będą badania A. Bineta nad tem, co on nazywa hamowaniem w zakresie zjawisk psychicznych. Studya te bowiem nietylko po części wyświetlają mechanizm psychologiczny jednego z najciekawszych objawów hypnotycznych, ale stanowią zarazem przyczynek do wyjaśnienia ważnych zagadnień z teoryi poznania.

Wykrycie pewnego stosunku pomiędzy niektórymi stanami psychicznymi a zachodzącemi jednocześnie zmianami fizyologicznemi w układzie nerwowym doprowadziło fizyologów do wniosków pospiesznych i do nieuzasadnionej szematyzacyi. Wywnioskowano, że objawy te przebiegają współrzędnie, tak, iż każdy proces w nerwach posiadałby odpowiedni sobie psychiczny. Ponieważ każde zjawisko nerwowe bierze początek w podrażnieniu zmysłowem, a kończy się ruchem, zawyrokowano więc, że pierwsze stanowi źródło wrażenia, ostatnie — woli. Wola więc stanowić miała wynik bierny i konieczny wrażenia, jak ruch w odruchu stanowi nieunikniony wynik podrażnienia końcówki nerwu czuciowego. W ten sposób kierunek czynności psychicznej zależałby jedynie od względnego napięcia bodźca lub osobliwości dróg, po których przebiegają prądy nerwowe (t. zw. drogi najmniejszego oporu). Skupienie np. uwagi na jakimkolwiek przedmiocie byłoby wynikiem prostej przewagi wrażenia tego przedmiotu nad innymi, które dostały się jednocześnie do mózgu. Atoli bliższe wejrzenie w objawy duchowe prowadzi z konieczności do wyróżnienia pomiędzy dwoma stanami psychicznymi, które Wundt (w *Psychologii fizyologicznej*) oznacza nazwami percepcyi i apercepcyi, a z ktorych pierwszy polega na biernem przyjęciu wrażeń, jak one same się nasuwają, drugi zaś jest czynnem zcśrodkowaniem całej naszej świadomości na jakiemś wrażeniu wybranem, chociażby najsłabszem, ale pomimo to wydzielonem zpośród innych. Mamy tu oczywiście do czynienia z wpływem woli i istniejących już stanów świadomości na dalsze poznanie.

Istotnie, układ nasz psychiczny nie da się porównać do zawikłanej sieci drutów telegraficznych, prowadzących za pomocą urządzeń automatycznych otrzymaną tylko co depeszę do pewnej stacyi środkowej; raczej obrazem jego może być olbrzymie pole, na którem odbywają się bezustannie najrozmaitsze ruchy, a którego punkt dowolny oświetlić możemy iskrą świadomości i wciągnąć w ten sposób w jej zakres to, co na tym punkcie się dzieje.

Praca Bineta podnosi właśnie znaczenie czynnego udziału myśli w percepcyi wrażeń zmysłowych, oraz zależność tych wrażeń od wniosków logicznych. Autor przedewszystkiem zatrzymuje się nad rozbiorem psychologicznym przeczenia. Dowodzi on, że w przeczeniu mamy zawsze do czynienia z wyobrażeniem dodatniem. Gdy powiadamy, że nic nie leży na stole, wyobrażamy sobie, że żadna część powierzchni stołu nie jest zasłonięta. Mówiąc, że książka nie leży na stole, powinniśmy naprzód utworzyć sobie obraz książki, leżącej na stole i połączyć go z wrażeniem rzeczywistem, zaprzeczającem temu. Przeczenie więc polega na przeciwstawieniu dwu wyobrażeń dodatnich (tj. książki leżącej na stole i niepokrytej powierzchni stołu). W podobny sposób prostujemy złudzenia zmysłowe. Jeśli położymy kulkę między skrzyżowanymi palcami, otrzymujemy wrażenie dwoiste, ale dopóty tylko, póki nie widzimy kulki; skoro wzrok nas przekona o pojedynczości przedmiotu, złudzenie ustaje. Wrażenie wzrokowe jest tu probierzem dotykowego. Spostrzeżenia nad poddawaniem hypnotycznem świadczą, że brak czułości na wrażenia, których nieistnienie hypnotyzer wmawia, wypływa z podobnego źródła. Faktem jest, że, aby osoba, której się wmawia nieobecność pewnego przedmiotu, istotnie powzięła wyobrażenie tej nieobecności, koniecznem jest, żeby poprzednio miała ona przed sobą ten przedmiot. P. Janet wykazał, że nawet w ciągu znieczulenia wrażenie przedmiotu, niewidzianego przez osobę zahypnotyzowaną, istnieje w jej umyśle, ale niejako w innem polu świadomości, odmiennem od tego, które zahypnotyzowany za swoje „ja“ uważa i że wrażenie to można odszukać w owem drugiem „ja“ zapomocą pewnych środków (np. pisma automatycznego). A. Binet i M. Féré dowiedli, że mamy tutaj do czynienia z halucynacyą swego rodzaju. Gdy np. pokazując komuś klucz, leżący na stole, mówimy, że klucza na stole nie ma, powstaje wtedy halucynacya stołu, którego całą powierzchnię można obejrzeć. Złudny ten obraz, wcielając się w syntezę idei, wygania z niej wrażenie zmysłowe leżącego klucza, które jednak pozostaje w jakiemś innem polu świadomości. Pacyent, robiąc wnioski o tem, co widziałby, gdyby nie było przedmiotu, uważanego za nieobecny, uzmysławia te wnioski: spostrzega on wszystkie przedmioty, w rzeczywistości od niego przez przedmiot zakazany ukryte.

Jest to wogóle cechą halucynacyi, że nie zostaje ona biernym obrazem, lecz posiada zdolność rozwijania się logicznie, przy czem wszystkie wnioski logiczne przybierają natychmiast postać zmysłową. Jeśli poddamy pacyentowi myśl ptaszka, nietylko widzi on go, lecz czuje trzepotanie skrzydełek, słyszy śpiew; jeśli zbliżamy pręcik, widzi on, jak ptaszek siada nań, jak roztwiera skrzydła itd. W ten sam sposób, jak wnioski uzmysłowione z poddanej myśli, sprawiają, że przedmioty są widziane przez przedmiot nieprzezroczysty, jak gdyby go nie było, mogą też same wnioski doprowadzić do tego, że halucynacya oddziaływać będzie jako przedmiot nieprzezroczysty. Jeśli np. poddamy myśl potretu tam, gdzie w rzeczywistości stoją litery drukowane lub inny jakiś portret, pacyent nie widzi po za wyobrażanym portretem rzeczywistego. Jednak liczne doświadczenia wykazują, że następuje to tylko wtedy, kiedy przedmiot rzeczywisty nie może się zlać w jedno z wyobrażanym. Binet kazał pacyentowi poddaną halucynacyę głowy ludzkiej odrysować na kawałku papieru, na którym poprzednio narysowano kapelusz; pacyent odrysował głowę w kapeluszu. Przeciwnie, podkładając mu papier, na którym narysowano zwierzę, otrzymano tylko rysunek głowy ludzkiej, jak gdyby nie było zwierzęcia. W pierwszym wypadku wyobrażenia nie były z sobą sprzeczne i dla tego pacyent przyjął oba; w drugiem wyobrażenia nie mogły się zlać z sobą i pacyent widział tylko jedno. Hypnotyzowany jednak usiłuje zlać syntetycznie oba wyobrażenia, jeśli jedno daje się nagiąć do tej syntezy. Tak, gdy mu poddano obraz osoby siedzącej i podsunięto papier, na którym był zrobiony niezgrabny szkic ptaka, pacyent narysował osobę siedzącą w ten sposób, że część obrazu ptaka przerobił na krzesło.

*) L'inhibition dans les phenomènes de conscience par A. Binet. *Revue philosophique*, 1890.

Omijamy inne ciekawe, a poboczne spostrzeżenia i rozejrzymy się, jakie wnioski dla teoryi poznania dadzą się wysnuć ze zdobytych przez Bineta faktów. Zauważmy najprzód, że przytoczone fakty nie są zjawiskami wyłącznie chorobliwemi; w życiu codziennem spotykamy inne, zupełnie podobne, chociaż nie tak dobitne. Skupiając np. uwagę na jakimkolwiek przedmiocie, możemy wcale nie widzieć innych, znajdujących się przecież w polu świadomości, nie słyszeć bicia zegara itd. Znane są też powszechnie owe obrazki, w których, stosownie do tego, na co skierujemy uwagę, widzimy już zwierzę, to człowieka i t. d. Świadczy to, że wytknięte przez Bineta wykluczanie się wzajemne dostatecznie przeciwstawnych wyobrażeń jest podstawą naszej percepcyi normalnej. Godnem uwagi jest w tem wszystkiem, że jedno z praw podstawowych myślenia tak zw. zasada sprzeczności oddziaływa stanowczo i na percepcyę zmysłową. Wszystkie bowiem wypadki znieczulenia, które tylko co widzieliśmy, nie są w gruncie rzeczy wynikiem znieczulenia samych organów zmysłowych, lecz następstwem stłumienia jednego wyobrażenia przez drugie na podstawie owej zasady logicznej. Mamy tu więc godny uwagi przykład oddziaływania form apriorycznych myśli na percepcyę zmysłową, pokrewną z pewnymi objawami dotyczącymi percepcyi przez ślepą plamę siatkówki, które Lange (*Hist. filoz. natur.* T. II. str. 400) słusznie nazywa wnioskowaniem siatkówki.

Przerzućmy się na chwilę z zakresu faktów w dziedzinę hypotez. Jeśli prawdą jest, że myślenie nasze kształtuje się według form apriorycznych, niezależnych od (osobistego) doświadczenia, czy nie jest możliwem istnienie stosunków zewnętrznych, o których niepodobna powziąć wyobrażenia nie dla tego, że one nie oddziaływają na nasze zmysły, lecz ponieważ wskutek tych form apriorycznych nie dadzą się w żaden sposób skojarzyć z innemi wyobrażeniami? Świat przez nas poznany byłby zatem o te wszystkie przedmioty uboższy od rzeczywistego. Jest to zagadnieniem, na które dziś nie można odpowiedzieć, lecz w którem tkwi może źródło nieprzejednanych sprzeczności poznania.

W. K.

DZIEJE ROZWOJU PRAWA POWSZECHNEGO.

Pojęcie prawa powszechnego, oparte na porównawczem traktowaniu prawa wszystkich szczepów, zamieszkujących kulę ziemską, do dziś nie jest uznane przez t. z. szkołę historyczną. Pomimo, iż umiejętność ta w większości fakultetów prawnych nie istnieje, rozwija się na szerokiej podstawie i stwierdza coraz większą ilość punktów wspólnych w rozwoju prawa ludów najodleglejszych, które wzajemnie na siebie działać nie mogą. Pojęcia patryarchatu i matryarchatu, wprowadzone najprzód przez etnologów, geografów i historyków kultury, wchodzą nawet zwolna do dzieł ściśle prawnych. Okazało się, że dzisiejsza rodzina, oparta na równym stosunku pokrewieństwa dzieci do krewnych ojca i matki, nie jest systemem pierwotnym, że nawet patryarchalna, uznająca związki dzieci z krewnymi ojca nie zaś z krewnymi matki nie jest postacią najstarszą. Podczas gdy Klemm, autor dziesięciotomowej historyi kultury ludzkości, Waitz w antropologii ludów pierwotnych i Frankenheim w swej etnologii jeszcze nie wspominają o matryarchacie, Bachofen w słynnem „Mutterrecht" (1861) pierwszy wykazał, że z heteryzmu rozwinął się matryarchat, wyprzedzający patryarchat. Równocześnie niemal dwaj inni badacze doszli do podobnych rezultatów: Mac Lennan w dziele *Primitive marriage* (1865) i znany czytelnikom *Prawdy* Morgan. Szersze jednak koła zapoznały się z temi badaniami dopiero dzięki pracom Posta, o których dwukrotnie już zdawaliśmy sprawę. Mówiąc o matryarchacie, podnieśliśmy jedno tylko z zagadnień, opracowanych przez niego. Autor ten zajmuje się umiejętnością prawa powszechnego w całej objętości, a najnowsza jego praca *) zawiera niejako program tej nauki, której postęp zależy od uzupełnienia materyału etnologicznego. Oto, jak Post w jednej z prac poprzednich określa cel swych usiłowań: „Zadaniem mojem jest utworzenie umiejętności prawa powszechnego na drodze indukcyjnej. Nie wychodzę z założenia, jakoby dobro bezwzględne i objektywne wrodzone było człowiekowi, lub jakoby moje indywidualne, etyczne lub prawne sumienie było miarą niezawodną dla tego, co słuszne, a co niesłuszne; lecz raczej z objawów poczucia etycznego i prawnego wszystkich ludów chcę poznać, co jest dobrem i słusznem, i na tej drodze pragnę zrozumieć i ocenić należycie moje własne poczucie etyczne i prawne. W miejsce psychologii indywidualnej, na której opiera się cała dzisiejsza filozofia prawa, stawiam psychologię ludów." (Przedmowa do dzieła *Grundlagen des Rechts*, 1884).

Wiadomo, że Post przenosi naukę Darwina o rozwoju gatunków pod wpływem dziedziczności i zastosowania do dziedziny historyi prawa, („Einleitung in eine Naturwissenschaft des Rechts," 1872). Nie wyciąga jednak ostatnich wniosków tej nauki, twierdząc, iż podczas gdy w etnologii teorya Darwina wyjaśnia istotnie wszystkie strony charakterystyczne pojedynczych ludów, w dziedzinie prawa uzupełniona być musi innymi punktami widzenia. Świeżo ogłoszona praca Posta nie zawiera nowych badań, lecz oznajamia czytelnika z materyałem zebranym dotychczas na polu prawa powszechnego i z bibliografią tej umiejętności.

Na uwagę zasługują też rozprawy wrocławskiego uczonego Karola Friedrichsa, który idąc śladem wytkniętym przez Posta, doszedł do przekonania, że podobieństwo instytucyj prawnych u ludów rozsianych po kuli ziemskiej w ścisłym pozostaje związku z podobieństwem rozwoju ekonomicznego. Friedrichs ogłosił badania swe w *Ausland* (1890) i w *Deutsche Revue* (1891). Oto treść wywodów jego. Dzieli on historyę gospodarstwa społecznego na pięć okresów; w pierwszych trzech produkcya jest osobnicza, w dwóch ostatnich zbiorowa. W pierwszym ludy nie posiadają żadnego kapitału (żyją z myśliwstwa, z rybołówstwa i zbierania owoców); w drugim hodują bydło, w trzecim uprawiają rolę, w czwartym tworzą rękodzieła, a w piątym przemysł. Że zaś jednakie okresy gospodarcze wytwarzają jednakie instytucye prawne, zauważył już Frankenheim w swej etnologii. Ale za jego czasów zbyt mało wiedziano o sposobie powstawania prawa, tak iż poprzestać musiał na uwagach apriorystycznych. Friedrichs wskazuje okoliczności następujące. W okresach produkcyi odosobnionej każda rodzina wytwarza całość przedmiotów niezbędnych jej do życia; nie potrzebuje ona pomocy innych rodzin, nie troszcząc się wzajem o ich potrzeby. W czasie produkcyi zbiorowej zaś występuje podział pracy, tj. jednostki gospodarcze wytwarzają pewne przedmioty w ilości większej znacznie, aniżeli same zużyć mogą: jedna zaopatruje wieś całą w obuwie, druga w broń itd., nie wytwarzając natomiast innych rzeczy, których nabyć może u innych. Tu więc codziennie odbywa się mnóstwo tranzakcyj handlowych w formach najprzeróżniejszych, tranzakcyj, których nie widzimy w okresach produkcyi odosobnionej. Wymagają one uporządkowania, powstaje więc szereg norm prawnych, których okresy poprzednie nie potrzebowały i nie rozumiały. Lecz zmiana stosunków gospodarczych powoduje nie tylko przekształcenie spraw majątkowych, ale też przeobrażenie owych trwałych stosunków ludzi między sobą, które obejmuje prawo rodzinne i państwowe; rozwój zaś wszystkich stosunków życiowych pociąga za sobą przekształcenie norm prawnych, na których one się opierają. Ogólnie odczuwanej potrzebie zmian ulega prawo zwolna. Wrodzona jest bowiem ludziom skłonność do zachowywania form dawnych i wypróbowanych tak długo, aż dokuczą wszystkim. Daje to rękojmię, że prawo nie będzie się zmieniało pod wpływem potrzeb pozornych, mijających, lecz wyłącznie pod naciskiem trwałych, prawdziwych. Tam, gdzie przyjęło formę objawienia, jak w Starym Testamencie, w Koranie, w świętych pismach hindów, nie przewiduje ono wprawdzie potrzeb przyszłych; lecz materyał prawny, zawarty w nich, bywa tłomaczony odpowiednio do zmian i postępuje w ten sposób za rozwojem stosunków ekonomicznych.

L.

*) *Über die Aufgaben einer allgemeinen Rechtswissenschaft.* Oldenburg, Schulze 1891.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Orzeszkowa Eliza, *Jędza*, Warszawa.

Jest to obrazek żywcem wykrojony ze świata małomieszczańskiego i jak zwykle u szanownej autorki przeniknięty hasłem: „praca uszlachetnia." Pierwiastek idejowy powieści znika prawie zupełnie wobec opisowego, na który składa się wątek życia szwaczki. Jest nią Jadwiga Szyszkówna, jedna z wielu ulubionych przez autorkę postaci kobiecych, zwycięzka śród kałuż życia stąpających, nieugiętych, pełnych zaparcia, doskonale z ułomności natury ludzkiej wyzutych, przedewszystkiem zaś w walce o byt — samodzielnych. Mamy więc tu do czynienia raczej z wzorem doskonałości, niż z typem szwaczki istotnej, najczęściej pochylonej pod uderzeniem brutalnem nędzy lub wprost padającej w otchłań prostytucyi: dziewczyną z brzemieniem zgryźliwej i niedołężnej starej matki na karku, wycieńczoną pracą i bezsennością, skołataną niedostatkiem i bezrobociem sezonów letnich — szczęśliwie dopadającą przystani: ogniska domowego. Bywają i takie, ale już przez to samo, że je autorka w postaci swojej bohaterki wyróżniła z rzędu innych, dowodzi, że Szyszkówna jest u niej „wzorem do naśladowania," czyli okienkiem, pozwalającem widzieć rąbek ideału. Myśl tę nasuwa jeszcze i inna okoliczność. Skromnej, niedostępnej i miłującej pracę Szyszkównie jest przeciwstawiona zalotna, lekkich obyczajów i miłująca próżniacze w kole wesołych mężczyzn życie: szwaczka Paulina. Ale nawet i dla tej grzesznicy znajduje się szczęśliwe wyjście: staczając się po pochyłości życia, w porę natrafia na zawadę, przedzielającą otchłań upodlenia— znajduje męża!

Tyle dążności. Resztę stanowi obraz szarej doli istot nizin społecznych, ludzi pędzących życie w ciasnych, tanich mieszkaniach przedmieść lub ulic podrzędnych. Oto jak opisuje autorka jedno z takich gniazd, gdzie mieści się rodzin kilka. „Samo ubóstwo: drobni rzemieślnicy, drobni kramarze, gdzieniegdzie też drobni urzędnicy, tanie nauczycielki, szwaczki, staruszkowie z drobnych emerytur żyjący, mężczyźni i kobiety, chrześcianie i starozakonni — prawdziwy kocioł z przegródkami, z których w każdej gotowały się cokolwiek od-

mienne, ale w gruncie podobne do siebie potrawy; grunt ten stanowiły troski, zgryzoty i ciężka praca, a tylko w jednej przegródce było pół, w drugiej jedna, w trzeciej zaś parę szczypt drogiej przyprawy wesołości, miłości i nadziei."

Wyróżnienie właśnie jednej z takich przegródek, zaludnionej przez dwie kobiety, córkę i matkę, — dała Orzeszkowej sposobność namalowania obrazu, w którym pędzel artystki wiernie dotrzymuje kroku prawdzie. Znamienne rysy gderliwej starości (matki czyli „jędzy") i cichego cierpienia młodego życia, więdnącego zwolna w kleszczach nadmiernej pracy — wiernością odtworzenia walczą ze sobą o lepsze. Autorka jest tu w swoim żywiole. Szczególnie psychologia opuszczenia i ciasnoty życiowej, drobne tętna serca, skromne lecz rzadkie radości i bezbrzeżna szarzyzna istnienia — znajdują w niej wyborną wyrazicielkę.

Oto op. dzień wigilii Bożego narodzenia. Biedna szwaczka zaspała po nocnej pracy nad suknią dla modnej panny. Zrywa się strwożona i znowu wraca do roboty. Warczenie maszyny budzi jej matkę.

— Jadwisiu, czy ty znów o tej porze przy robocie siedzisz? — odzywa się troskliwość rodzicielki o zdrowie dziecka.

— Siedzę mamo — odpowiada „dobre dziecko."

— A położyłaś się spać znów o trzeciej?..

— O trzeciej, mamo.

— Skaranie boże! plaga egipska, śmierć, zginienie! wieczne nieszczęście! — zaskrzeczy histerya starcza. Cóż z tego będzie? no i co z tego będzie? Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się nad nami!..

Nastaje cisza, przerywana warczeniem maszyny i jednostajnem klaskaniem trzewików, które matka otrzepuje za przepierzeniem.

— Cóż z tego będzie? — pyta dalej niedołęztwo starości, zatrwożonej o swój własny los. Do czego ty sama siebie doprowadzisz? Czyż tego nie rozumiesz? Jezus Marya! Sama zginiesz i matkę zgubisz! Albo ty tego nie rozumiesz? Oho! Nie taka ty głupia, żebyś rozumieć nie miała! Rozum masz! O jej! masz go więcej, niż trzeba, a serca tylko mało, mało, mało! Jezus Marya! Gdybyś miała serce, tobyś pomyślała o tem, coby się stało z matką, gdybyś ty zachorowała, albo broń Boże i co gorszego jeszcze... Ale czy ty kiedy o tem pomyślisz? Czy ty o matkę dbasz? Czy ty taka córka, żebyś matki spokojność szanowała? Pracować, pracować, pracować! Tobie tylko o to idzie, ażeby się chwalić: „Od nikogo nic nie potrzebuję! Matkę utrzymuję! Synowie ją opuścili, a ja córka, słaba dziewczyna, nie opuściłam."

W odpowiedzi na tę powódź wylewającej się żółci, córka tylko spiesznie nadeptuje maszynę, a kiedy słówko powie, z za przepierzenia spada nowy grad wyrzekań:

— Śmierć, niedola, zgryzota, plaga egipska, wieczne nieszczęście!

Kiedy córka, mocno zajęta, poprosi matkę, żeby nastawiła samowar i zrobiła herbatę, histerya starcza znowu wzbiera.

— Zaraz, natychmiast, w ten moment, do usług! — wybucha matka. Nie krzycz już tylko! Idę, biegnę, lecę! tylko nie krzycz!

— Ależ, moja mamo, ja wcale nie krzyczałam, tylko prosiłam — tłomaczy się, hamując zniecierpliwienie córka.

— A czemuż nie masz krzyczeć! Ty tu pani! Ja z twojej łaski żyję. Czemuż nie masz krzyczeć na niegodziwą matkę, którą rodzeni synowie opuścili, a ty jedna nie opuściłaś i utrzymujesz! Zaraz będzie samowar i herbata, i ogień w piecu zapalony — i wszystko... służę, służę!

To ból moralny matki opuszczonej przez złych synów i potrzeba ich bronienia wobec ludzi — zwracają zęby tej kobiety, stetryczałej w długich chwilach daremnej tęsknoty przeciwko własnemu, najlepszemu dziecku. W dotkliwem cierpieniu, z którego wyjścia niema, gryzie się własne ciało. Każdej wigilii Bożego narodzenia oczekuje od synów listu i zawsze naprożno. To jednak wiary w dobroć ich serca biedaczce nie odejmuje. Z prawości swego męża nabrała niezłomnego przekonania, że oni czynami swymi nie każą kościom ojca zadrżeć w grobie. Kiedy przypadkiem z rozmowy córki z sąsiadką dowiaduje się, że jeden z nich, pokątny doradca, za oszustwo wtrącony został do więzienia — pada, rażona atakiem apoplektycznym. Straszny roztacza obraz autorka, gdy każe czytelnikowi patrzeć na tę starą „jędzę," leżącą bezwładnie na łożu boleści „z ogromną żółtą czapką" okładu lodowego na głowie i resztą sił spiorunowanego krwią mózgu żalącą się na świat cały.

Całe gniazdko drobnomieszczańskie pośpieszyło ze współczuciem na ratunek biednej szwaczki. Stawiła się także stara Ruchla, żona krawca dogorywającego w suchotach. To także okaz „nędzy istnienia." Była to najstraszniejsza współzawodniczka Jadwigi na rynku pracy. Czy chłód, czy słota, całymi dniami wystawała przed bramą kamienicy i przemocą lub rozpaczliwą wymową zaczepiała przechodniów i odbierała jej „kundmanów." Na gniewne uwagi ze strony Jadwigi, że to jest nieuczciwe, podstępne, odbierała od żydówki wciąż jedną odpowiedź: „A co robić, kiedy u nas chleba niema." Raz sprzątnęła szwaczce jedną z najcenniejszych klientek. Jadwiga zakipiała z gniewu i nawymyślała rywalce od „brudasów" i „żydów." Ale Ruchla, oparta ramieniem o róg bramy, bez gniewu, bez wstydu, bez najmniejszego poruszenia ciała lub duszy: odrzekła: A co robić, kiedy u nas chleba niema!" Nareszcie razu jednego spotkała ją już nie w bramie, ale z opuszczonemi rękami i spłakaną twarzą na dziedzińcu. Pochwyciła rękę Jadwigi i pokryła ją gorącymi pocałunkami. Jej Mendel nie miał już od kilku dni zarobku, będąc trawiony gorączką i jedno z dzieci zachorowało. Prosiła więc o pożyczenie choć jednego rubla. Dziewczyna oburzona, nie chciała wierzyć, żeby tak byli biedni. „Niech panienka do nas wejdzie i przekona się!" — rzekła jej na to Weszła i przekonała się, że twarz dziecka płonęła rumieńcami gorączki, a ojciec miał białą jak papier, oczy zaś iskrzyły się mu żarem suchotniczym. Mieszkanie przedstawiało obraz okropnej nędzy. Wcisnęła Ruchli w rękę „papierową szmatkę" i już więcej nie gniewała się na nią, widząc jej czaty na „kundmanów."

Po wypadku z matką, który ją zniedołężnił do reszty, Jadwiga uczuła podwójny ciężar na swoich barkach. „Spłakanemi oczyma patrzyła na gwiazdy i myślała: „Ani to piękne gwiazdy dla mnie, ani wesołość żadna, ani szczęście.. mnie nawet płakać nie wolno, bo oczy szanować powinnam... I nie będę! nie będę... trzeba mi szyć... szyć... szyć... matkę karmić, leczyć.

Za tyle prawości i poświęcenia znalazła jednak nagrodę — wyszła za mąż. Tym zesłańcem nieba jest również, jak ona, miłujący pracę podmajstrzy fabryczny. Stuła kapłańska i ognisko domowe stało się tu dopełnieniem smutnej rzeczywistości...

Zyg. Piet.

M. Rodziewiczówna, *Ona*, powieść, 1890.

Na początku powieści autorka podaje rysopis duchowy swej bohaterki. Wskazuje on jasno, że utwór nie powstał na gruncie rzeczywistości.

Bohaterką ową jest młoda dziewczyna, którą dzieckiem odumarli rodzice. Sierotę przygarnęli bogaci krewni na wsi. W domu ich Konstancya wyrosła na rodzaj sługi nienajemnej a pożytecznej, nauczyła się prowadzić gospodarstwo domowe i wywiązywała się z obowiązku tego bardzo dobrze, przysparzając dochodów, zmniejszając wydatki. W rodzinie otrzymała rolę Kopciuszka, szarej istoty, zwanej „ubogą krewną," lekceważonej w kółku domowem, ignorowanej przez obcych. Pracy jej, zabiegów i charakteru krewni ocenić nie umieli. Uważali ją za głupowatą, chciwą, lękliwą, ograniczoną, podczas gdy w istocie była tylko wesoła, pracowita, łagodna i nie miała żadnych pretensyj. Za lekceważenie, drwiny i brak uczucia z ich strony wypłacała się przywiązaniem, lubiła tych, którzy ją traktowali z góry i nie umieli być dla niej sprawiedliwymi. Z natury dość wysoko uposażona zużytkowywała ona całą swą energię, pracowitość, wytrwałość młodzieńczą, aby spłacać swym dobrodziejom dług wdzięczności pracą, mającą na celu jedynie korzyść ich i wygodę. Młoda i ładna, była wzorem zaparcia się nie już samej młodości tylko i jej uciech, lecz po prostu wszelkiego jasnego i rozumnego celu w życiu, a to w imię obowiązku, jaki narzuciła jej łaska krewnych.

Rzecz jasna, iż stoimy tu albo wobec postaci fałszywie wyidealizowanej, albo osobnika niezwykłego, którego pobudki działania mieszczą się w jakichś głęboko ukrytych cechach indywidualnej natury. Cech takich w bohaterce swej autorka nie rozwija, musimy przyjąć zatem pierwsze przypuszczenie, które nadto potwierdza sposób, w jaki p. R. naturę jej tłomaczy.

Tło i grunt natury tej nawskroś szczerej i prostej stanowiła wdzięczność i ofiarność— powiada p. Rodziewicz. Los nauczył ją od dziecka obywać się bez słodyczy żywota, nauczył ją też pokory, cichości, poświęcenia i zapomnienia o sobie. Praca ustrzegła ją od goryczy, dała pogodę i spokój, wyrobiła sąd trzeźwy i poczucie samodzielności. Mało uczona posiadała zasady prawe, wrodzoną logikę, umysł jasny, ogromny zapas stanowczości i woli. Mogłaby przy tych zasobach zapragnąć szerszych celów, wyrywać się do nieograniczonej swobody — wdzięczność trzymała ją w szarym cieniu zależnego stanowiska.

Na tę samą nitkę mogłaby autorka nanizać wiele jeszcze zalet swej bohaterki, nie zbliżając się wcale do jakiegoś żywego i prawdziwego obrazu. Wyobraźmy sobie młodą dziewczynę, w żyłach której płynie coś więcej, niż rozcieńczona limfa, niepozbawioną ani zdolności myślenia, ani poczucia godności ludzkiej, wyobraźmy ją sobie w tych latach, kiedy każda młoda istota uczuwa jakieś pragnienia, najprzód zwykle wybiegające w kierunku niezależności, swobody, a następnie szukające jakiegoś celu rozumnego przed sobą, działalności pożytecznej. Podobną istotę widzimy na łasce krewnych, na stanowisku sługi moralnie poniewieranej. Wdzięczność nie ma tej siły, aby przytłumić mogła wszystkie bunty i protesty, tak naturalne, tak proste, tak ludzkie, jakie w tem położeniu rodzą się w duszy człowieka. Wygórowane poczucie obowiązku uczynić może z długu wdzięczności łańcuch ciężki, krępujący i przygniatający młodą egzystencyę, ale cóż może zgasić w duszy tego skrępowanego człowieka, jeśli nie urodził się niewolnikiem, uczucie uwięzienia, niewoli, któż wyrwie z niej żal marnujących się sił, zdolności, więdnącej młodości? Jeśli bohaterka sama nie stoi na poziomie istot, które rola domowych szafarek uszczęśliwia, jeśli istotnie jest tak uposażona umysłowo i moralnie, iż mogłaby zapragnąć „szerszych celów," to z pewnością praca, jaką jej los wydzielił, nie ustrzegła jej od goryczy, nie dała pogody i spokoju. Tylko automat bezduszny lub najzupełniej pospolita istota mogłaby dzień po dniu, bez żalu i goryczy poświęcać się temu celowi, aby wuj i ciotka mieli codzień świeżą śmietankę, spiżarnię zawsze pełną i bieliznę połataną i nigdy pragnieniem po za tę sferę nie wybiedz.

To też obraz, jaki kreśli panna Rodziewicz, nie posiada żywych przedstawicielek; jest to wytwór oderwany, skupiający w so-

bie pewną ilość wyidealizowanych cech natury kobiecej i mający na celu dowiedzenie tezy. *Ona*— to nie pewien typ, czy charakter kobiecy, to — kobieta w pojęciu panny R. abstrakt, mający na zasadzie kilku dowolnie dobranych cech określić posłannictwo niewieście. Odgadnąć je łatwo. P. Rodziewicz nie zdjęła z siebie szaty, w której tak oczarowała naszą krytykę; jest to zawsze nabożna parafianka, zwołująca wiernych na kazanie o cichych cnotach niewieścich i obowiązkach natchnionych przez plebanię i katechizm małżeńsko-kuchenny. „Ona" więc w pojęciu p. R. będzie to zawsze istota stworzona dla posług ewangielicznych przy mężczyźnie.

Tym razem stara ta teza odnalazła się w bajdzie, której roztropne dziecko nie dałoby wiary. Powtarzamy ją ku zbudowaniu czytelników.

Konstancyę kocha młodzieniec imieniem Sewer. Miłość ta nosi istotnie charakter ewangieliczny. „Ostatnią byłam, a pan mnie zjednał z królami" — powiada Kostusia. „Bom i ja najnędzniejszy był, a oto mi teraz szczęśliwość w piersi się mieści. Bądź za to błogosławioną!" — odpowiada Sewer. Na matczynej mogile Sewer przysięga Kostusi, iż nie opuści jej w złej lub dobrej doli; ona posłannictwo swe zawczasu zdradza. „Szczęście będzie pan miał łatwo z kim dzielić, a nieszczęście do mnie tylko należy." Obojgu zagrażają prześladowania, jej — ze strony krewnych, którzy ją przygarnęli, jemu — ze strony ojczyma, z którym ma jakiś zatarg z powodu interesów majątkowych. Sewer odznacza się gwałtownem usposobieniem. Pod wpływem gniewu przy sprzeczce rzucił się na ojczyma, ten zaś przy pomocy służby skrępował go i zamknął w pustym lamusie. Po upływie *paru miesięcy* uwięziony w tym lamusie Sewer zwaryował. Konstancya długi czas nie wiedziała nic o jego losie, dowiedziawszy się — z domu uciekła, Sewera z więzienia wyzwoliła i w świat waryata uprowadziła... Kryli się po najrozmaitszych miejscach, ona zarabiała na życie dla trojga osób — towarzyszyła im bowiem stara kobieta, mamka Konstancyi. Wreszcie znaleźli schronienie w jakimś lesie. Sewer, którego stan Konstancya potrafiła zataić, przyjął miejsce leśnego strażnika. Naturalnie obowiązków tych pełnić nie mógł, więc ona pełniła je w zastępstwie jego. Wreszcie prawda wyszła na jaw, syn właściciela majątku, u którego zbiegi znaleźli przytułek, był doktorem i poznał, iż Sewer dotknięty jest chorobą. Uczynił próbę wyleczenia go, wskutek której chory umarł. Konstancyę odnaleźli krewni. Na resztę swego życia znalazła ona również kogoś, przy kim w dalszym ciągu mogła spełniać swe posłannictwo — żyć dla drugich.

F. B.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

W duchu czasu.

Epoce naszej przybyło nowe znamię, mianowicie najrozmaitsze popisy wytrwałości podróżniczej. Jedni przebywają olbrzymie przestrzenie konno, inni pieszo, inni na szczudłach, a niedawno jakiś francuz, wysiliwszy się na nowy koncept, zapowiedział, że z Tulonu do Paryża pojedzie... świńmi. Nie przeczymy, że wszystkie te pomysły są genialne, rozumne, oryginalne, a nadewszystko godne trudów ludzkich; ale zauważymy, że powinny one ukoronować się jednym, dotąd niezastosowanym, a przecie w obecnej chwili może najwłaściwszym. Mówimy tu o odbyciu wielkiej podróży lub — co byłoby jeszcze wspanialsze — obejściu całej kuli ziemskiej na czworakach. Jeżeli nie znajdzie się bohater, któryby tego dokonał, dziejopisarze będą kiedyś zdumieni, dlaczego epoka naturalizmu, „zwierzęcości ludzkiej," zażerania się jednostek i gromad człowieczych nie wydała takiego męża i takiego dzieła. Ale chyba oszczędzimy im zdziwienia. Jeżeli bowiem „prawidłowy postęp" świata nie zmieni swego kierunku, niedługo połowa ludzi zacznie chodzić na czworakach z dumą a jednocześnie odrazą do Darwina za to, że ich rodowód wyprowadził od zwierząt. Kto zaś chce wyprzedzić swój czas, niech co prędzej zaćmi sławę francuza jadącego świńmi do Paryża i ogłosi, że zamienił ręce na nogi i wyrusza w daleką drogę. Będzie podziwiany, interviewowany, witany uroczyście w różnych punktach globu, a telegraf nie zaniedba donieść o każdym jego etapie. Trzeba koniecznie doprowadzić logikę „fin de siecle'u" do ostatecznych konsekwencyj. *O.*

Odczyty.

Dr. Nussbaumowi należy się podwójne uznanie: zaznajomił on w paru wykładach publiczność z ogólnymi rysami budowy i głównemi funkcyami organizmu ludzkiego oraz — co niemniejszą jest zasługą — przywrócił dawny a od paru lat gasnący blask odczytom Osad rolnych. W ostatnich czasach na te pogadanki, nieraz bardzo pożyteczne, ale zwykle bezpretensyonalne, uczęszczały garstki słuchaczów, składające się z rodzin i przyjaciół prelegentów, oraz ludzi, którzy specyalnie zainteresowani byli jakąś kwestyą. Ogół, dawniej tłoczący się i zaciekawiony, pozostał obojętnym. Jeżeli pominiemy zeszłoroczne występy p. Ochorowicza, które przedstawiały raczej ponętę widowiska, niż nauki poważnej, to dopiero dr. Nussbaum zdołał nadać katedrze publicznej siłę przyciągającą — i to nie zapomocą łechczącego lub drażniącego przedmiotu, nie za pomocą efektownych sztuczek, ale jedynie talentem popularyzatorskim. Fizyologia człowieka — to przecie w zwyczajnym wykładzie rzeczy nie łakotka dla szerszej publiczności. Tymczasem dr. Nussbaum łańcuchem dowcipnych, pomysłowych i malowniczych upodobnień tyle do nauki ścisłej wprowadził życia, obrazów, porównań, niemal scen i stosunków zrozumiałych, że słuchano jego lekcyj jak zajmującej opowieści. Tym skutkiem i Towarzystwu osad rolnych, i sprawie odczytów, i słuchaczom zasłużył się wielce. *W.*

W błędnem kole.

Widok kilkoletniego harmidru o kasę emerytalną kolei Terespolskiej byłby wysoce zabawny, gdyby nie był nader smutny. Ta tragikomedya pomnożyła się nowym aktem. Dla zrozumienia go musimy czytelnikom przypomnieć treść poprzednich. W r. 1885 zarząd tej kasy, przewidując jej zachwianie się, tem prawdopodobniejsze, że dobiegał do końca termin ośmnastoletni, dający urzędnikom drogi prawo do połowy emerytury, podniósł składkę wnoszoną z 4 do 8% od pobieranych pensyj. Przezorność ta wszakże okazała się niedostateczną, gdyż wieści o bliskim skupie kolei wywołały popłoch śród całej służby, a posiadających prawa emerytalne pobudziły do korzystania z nich co prędzej. Dzięki temu popłochowi namnożyło się tylu emerytów, że kasa przy dalszym ich wzroście w tym stosunku ujrzała niebezpieczeństwo bankructwa. Ustawa jej dla podobnego wypadku ma dwa paragrafy, z których jeden (32) stanowi, że gdyby *wpływy bieżące* nie wystarczały na pokrycie wydatków kasy, ma być sprzedana odpowiednia ilość papierów publicznych; drugi zaś (35) mówi, że gdyby *fundusze* nie wystarczały na wypłaty emerytur przyznanych, powinny być podniesione składki, a gdyby i to było niedostateczne — winno nastąpić zmniejszenie pensyj emerytalnych. Pod wyrazem „fundusze" zarząd rozumiał w r. 1885 tylko wpływy bieżące i dla tego podwoił składki, a gdy to nie dało kasie mocnej podstawy — zmniejszył emerytury przyznane. Ten ostatni środek wywołał opozycyę ze strony interesowanych, którzy pod słowem „fundusze" kasy przyjmowali nie same wpływy bieżące, ale cale jej mienie; dopóki więc zasób jakiś jest, powinien być używany na pokrywanie emerytur przyznanych. Rada zarządzająca kolei przyjęła taki wykład ustawy, ale wytworzyła błędne koło, w którem sprawa kręci się bez wyjścia. Zarząd kasy bowiem, stanąwszy na tym gruncie, postanowił: ponieważ dopiero brak funduszów, całe jej mienie stanowiących, upoważnia do przedsięwzięcia środków ratunkowych; ponieważ obecnie emerytury, chociaż prawie zupełnie wyczerpują wpływy bieżące, nie naruszają jednak jeszcze kapitału, przeto nawet podwojenie składek jest przedwczesne i trzeba przywrócić dawną ich stopę 4%. Innemi słowy: kasie należy zmniejszyć dochody i cały jej zasób pozostawić do wyczerpywania emerytom. Zapewne, środek ten przecina dalsze próby ocalenia kasy jako instytucyi trwałej i wszelkie zobowiązania wytrzymującej, ale uwalnia od połowy niesprawiedliwego haraczu urzędników dotychczas służących. Musieli oni bowiem płacić 8% składki z małą lub bez żadnej nadziei wysłużenia emerytury, czyli ponosić ofiary na rzecz emerytów już pobierających swoje pensye. Niewątpliwie ci ostatni, zwłaszcza gdy są ludźmi starymi i niezdolnymi do pracy, a to źródło stanowi całe ich utrzymanie — muszą bronić swoich praw; ale czy podobna dla nich poświęcać pracowników czynnych, nieraz biednych i obarczonych rodzinami, którzy muszą płacić 8% dla tego, ażeby po steraniu sił i wysłużeniu swych lat nic nie dostali? Byłoby to krzywdzącym wyzyskiem, pozbawionym zarówno zasady prawnej, jak moralnej.

I przeciwko temu postanowieniu zarządu kasy pewna część urzędników zaprotestowała. Naturalnie dopóki wszelkie protesty nie przecisną błędnego koła, nie mają żadnej praktycznej wartości, nie rozplątują węzła, przekraczają tylko walkę sprzecznych egoizmów i interesów, które dopóty ścierać się z sobą będą, dopóki jakaś niezależna od nich, a rozstrzygająca w ostatecznej instancyi konieczność nie położy kresu temu procesowi. W sprawie, w której żadna strona ustąpić nie chce, a dla pogodzenia ich potrzeba, ażeby z kopiejek rodziły się ruble, nawet Salomon nic nie poradzi. Nie oczekujemy go więc, przewidujemy natomiast, że ostateczny koniec zatargu przedstawi dużo zawodów i żalów. Jeżeli zaś obecnie radzić można, to radzimy pozostałym w służbie urzędnikom kolei Terespolskiej, ażeby naśladowali emerytów — tj. bronili siebie i oświadczali się za każdym projektem, który albo im zabezpieczy lata odpoczynku, albo przynajmniej uwolni od haraczu na cudzą korzyść lata pracy. *Pr.*

Znak zapytania.

Kasy emerytalne naszych dróg żelaznych stanowią otwartą ich ranę: Terespolskiej— znajduje się w zupełnym rozstroju, Nadwiślańskiej — wisi w powietrzu, z którego niepodobna sprowadzić jej na ziemię. Ta ostatnia została zamknięta w r. 1889, gdyż przewidywano to, co się spełniło na kolei Terespolskiej, że składki uczestników kasy łącznie z dopłatami Towarzystwa nie wystarczą na pokrycie zobowiązań emerytalnych. Mimo to procenty opłacane od pensyj przez urzędników wpływają dalej bez żadnej rękojmi, że kiedyś zabezpieczą starość wysłużonych. Jeżeli zaś pracujących trapi obawa, to uwolnionych od r. 1889 przygniata niedostatek. Opuścili oni bowiem swoje obowiązki z nadzieją, że mają zapewnioną emeryturę, tymczasem nie pobierają jej i nie wiedzą, kiedy ostatecznie los kasy będzie rozstrzygnięty. Słusznie też

skarży się jeden z interesowanych w *Kuryerze warszawskim*: „Na jakiej podstawie oparte było to przewidywanie — powiada on — nie wiem, ale, jak sądzę, można było zapobiedz obawie niedostateczności zasobów kasy przez podniesienie składek uczestników i wyjednanie wyższej dopłaty Towarzystwa, albo też przez ograniczenie jej wydatków, tj. zaprowadzenie pewnych ograniczeń w prawach do pobierania emerytury.“ Zasadności temu wywodowi odmówić trudno. To też zarząd kolei Nadwiślańskiej powinienby przyspieszyć tempo swoich rozmyślań, czy starań o reformę kasy, pamiętając, że pomiędzy zaniepokojonymi nie ma posiadaczów akcyj. Tak czy inaczej węzeł powinien być rozcięty prędko. Dziś już żadna poważna instytucya, nawet prywatna, nie może się obejść bez jakiejś kasy, którąby uczestnikom dawała możność ubezpieczania się na lata niezdolności do pracy. *Z.*

Specyaliści upadłościowi.

Uprzywilejowani w kuratorstwie i syndykowstwie mas upadłościowych nie mogą się skarżyć na ostatnie miesiące: bankructw było dosyć. Uwagę tę winniśmy czytelnikowi bliżej objaśnić: jeżeli kupiec zbankrutuje, do gospodarowania jego pozostałym majątkiem i uregulowania zobowiązań wyznaczony zostaje między innymi opiekunami wierzycieli także adwokat, któremu zwykle dostaje się lwia część z owej masy. Jest to więc doskonały interes, daleko zyskowniejszy od procesów zwyczajnych. Jak chciwy lekarz marzy o chorym bogaczu, tak adwokat o grubej upadłości, gdyż ona nieraz powalając innych, jego stawia na nogi. Nie dziwno też, że około tych smacznych kąsków krążą tęskne westchnienia. Ale i tu, jak wszędzie, wielu jest powołanych a mało wybranych. Są adwokaci tak szczęśliwi, że dostają po kilka bankructw rocznie, są również tak nieszczęśliwi, że otrzymują jedno na lat parę i to marnego Icka lub Mendla, który nietylko swoją kasę opróżnił, ale ją nawet wypłukał. Nie badamy tu, jakie kaprysy fortuny wprowadzają tę różnicę, zaznaczymy jedynie fakt, że pewne nazwiska adwokatów często pojawiają się przy ogłoszeniach upadłościowych, inne bardzo rzadko lub nigdy. Bez wątpienia każdy organ, ćwiczony w pewnym kierunku, nabiera wielkiej wprawy, przypuszczamy też, że często obdarowywani kuratorstwem i syndykostwem biorą się do rzeczy umiejętniej, ale ta umiejętność nie jest znowu tak wielka, ażeby potrzebowała tworzenia specyalistów w zbyt szczupłem kółku. Sprawiedliwość nie poniesie szkody, jeżeli dobrodziejstwami bankructw obsiewać będziemy całą niwę adwokatury, nie zaś tylko wybrane w niej zagony. *K. M.*

Taksa aptekarska.

Porusza się... chociaż tylko w dziennikach. Zarzuty, wymierzone przez *Kuryer warszawski* przeciw wysokiej taksie aptekarskiej, usiłował odeprzeć p. K. Wenda. Oto rdzeń jego rozumowań:

„*Aptekarstwo jest sztuką*, a aptekarz bierze wynagrodzenie za swą naukę, za gwarancyę uczciwej działalności, za czas stracony, za życie wśród ograniczonej swobody i w atmosferze niemiłej, za koszty utrzymania zakładu, któremu prawo stały wytknęło kierunek i zamknęło drogę do szerszej działalności handlowej, wiele pozwalając, a jeszcze więcej zabraniając. Dopiero w drugim rzędzie następuje zapłata za towar droższy, a w ostatnim rzędzie za materyał.

Jak literat i lekarz nie otrzymują honoraryum za atrament i papier do pisania, tak też aptekarz, pomimo swego pozornego charakteru kupca, nie może brać ceny towaru za podstawę swej egzystencyi.

Piasek nie ma wartości, lecz dajmy go do dzielenia na proszki granowe człowiekowi z uniwersyteckiem wykształceniem, płacącemu 1,000 do 3,000 rs. za lokal, od 50—100 rs. podatków, mającemu urządzenie odpowiadające aptece. Piasku jest, dajmy na to, 1,000 gatunków i ma być produkowany w 25-ciu formach. Pytam, ileby kosztował funt piasku, przerobionego według zasad sztuki, niby proszki Dowera!“

Ilustrując przykładami przysłowie o kościach za tanie pieniądze, p. W. przytacza: „*Kory chinowej królewskiej* dostanie za 8 marek, 6,50, 4,50, a wreszcie za 3 i pół marki. *Olejek miętowy* od 146 do 39 marek za kilogram itd. Czyż nie szerokie jest pole do wyboru? Któż, redaktorze, kupując te leki, szuka ceny po lewej stronie, a kogo skusi ponętna cena na prawo? Proszę o łaskawą odpowiedź z uwzględnieniem ułomności ludzkich. Widziałem w Warszawie olbrzymi transport *Rheum raponticum*. Ten rabarbar należy już do historyi, przeszedł zaś do niej przez żołądki oszczędnych synów syreniego grodu.“

Opowiada dalej autor, jak kupił kilka bel liści senesowych lichego gatunku, zmieszanych z łodygami, ale zawierających cenne strączki, które wybrano, a resztą materyału zaczęto opalać aparat destylacyjny. Znalazł się jednak kupiec, który nabył to paliwo dla apteki.

Niewątpliwie p. W. ma dużo racyi, zwłaszcza tam, gdzie wykazuje, za jaką cenę zdrowia ludzkiego można taniej sprzedawać lekarstwa, dając towar lichy, a nawet szkodliwy. Ale chociażbyśmy zgodzili się, że „aptekarstwo jest sztuką,“ że sam materyał użyty nie może być brany za podstawę wynagrodzenia farmaceutów, że należy im się równoważnik za wiedzę i pracę w ciężkich warunkach — to jednakże po sprawiedliwem uwzględnieniu tego wszystkiego przyznać musimy, że obecna taksa aptekarska jest za wysoka. Stawiane jej zarzuty mogą się mylić co do stopnia zniżki, ale nie co do samej zasady, którą po za egoistycznem pojmowaniem rzeczy każdy uznać może. *Kr.*

Kurczenie się prasy.

Warszawskij Dniewnik urzędowemi cyframi stwierdził zamieranie organów naszej prasy. Według niego wszystkie wydawnictwa peryodyczne w Warszawie mają od 50—55 tysięcy przedpłacicieli. W r. 1863 było w Warszawie 15 wydawnictw peryodycznych z 19,171 prenumeratorami, w r. 1865 — 32 wydawnictwa z 16,654 prenumeratorami. w r. 1866 — 32 wydawnictwa z 15,773, w osiemnaście lat później w roku 1884 drukowano w Warszawie już 46 czasopism, które miały 24,283 prenumeratorów, w r. 1885 — 61 czaspism z 23,266 prenumeratorów. Od tego czasu liczba wydawnictw zaczyna się zmniejszać, tak, że w roku ubiegłym spadła do 33, ale liczba prenumeratorów wzrasta jednocześnie. 6 czasopism prowincyonalnych ma około 5,500 prenumeratorów.

W roku bieżącym ubyło *Życie* — pozostały więc tylko 32 czasopisma, z których najwyżej 10 pokrywa swoje wydatki prenumeratą; reszta istnieje długami, zasiłkami lub ofiarami.

Protest.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych jest szklanką wody, często nawiedzaną przez burze, ozemu dziwić się nalеży, gdyż czasy nasze są epoką burz we wszystkich stowarzyszeniach malarskich Europy. Wiadomo przecie, co się działo w Paryżu i Wiedniu, jakie tam nastąpiły zróżniczkowania. Powodem świeżego protestu naszych artystów jest układ Towarzystwa z *Tygodnikiem ilustrowanym*, pozwalający temu ostatniemu w malеńkich kopiach odtwarzać obrazy z wystawy. Naturalnie umowa mogła być tylko warunkowa, o ile na nią się zgodzą malarze. Otóż dość znaczne ich grono oparło się jej stanowczo i w osobnem podaniu zastrzegło sobie wyłączność prawa rozpowszechniania swych prac w jakichkolwiek odbitkach. Zdaje nam się, że ten protest sprawę załatwia, bo skoro Towarzystwo nie chce postępować samowolnie, malarze zaś zabraniają mu reprodukowania swych obrazów w *Tygodniku* — burza nie potrzebuje się srożyć, a prasa dostarczać jej gradu i wichrów. Wszystko jest w porządku. *O.*

NA WIDNOKRĘGU.

Postępy filantropii prowincyonalnej. — Nasza współdzielczość.

Niech filistrom „syreniego grodu“ nie zdaje się, że filantropia, jest monopolem Warszawy, że nigdzie więcej w reszcie kraju nie tylko ona nie czyni postępów, nie doskonali się, ale jeszcze nawet nie zaświtała. Urojenie! Ma Warszawa swoje *Res sacra miser*: szpitale, ochronki, kuchnie tanie, domy starców i przytułki — mają je też, lubo na mniejszą skalę i w zawiązku dopiero: Kalisz, Kielce, Piotrków i t. d. Warszawa tylko jest mistrzynią prowincyi w wyrabianiu plastrów gojących dla wykolejonych życiem. Im rezerwa ludzi trapionych niepewnością jutra bardziej wzrasta, im od społecznego warsztatu i dochodu więcej setek tysięcy odpada zawiedzionych, tembardziej kruszeją serca ulubieńców losu — tembardziej potrzeba zorganizowanej filantropii staje się naglącą. Systematyczności działania warunków „nędzotwórczych“ musi przeciwstawić się systematyczność wysiłków uśmierzania bólu i ścierania łez — prawidłowo rozdawnictwo zupy rumfordzkiej. Serca mieszczańskie stają się tak tkliwe, że znieść nie mogą widoku żebractwa ulicznego, które, jak wyrzut sumienia, stoi przed oczyma. Stąd to nie tylko w Warszawie, ale i np. w Piotrkowie zjawia się potrzeba otwierania przytułków żebraczych i domów pracy. Kto wie, czy w tej skwapliwości uprzątania „odpadków“ społecznych z miejsc publicznych w parze z ulgą sumienia nie idzie także estetyka ulic, będąca rodzonem dzieckiem rosnącego dobrobytu warstw uprzywilejowanych.

Tak czy owak, zaznaczyć musimy dwa najświeższe objawy żywotności filantropii prowincyonalnej: otworzenie „Sali pracy“ dla biednych dzieci w Kaliszu i zamierzone urządzenie przytułku i domu zarobkowego dla żebraków piotrkowskich. Obejrzyjmy kolejno obie te instytucye. „Sala pracy“ dla dzieci biednych rodzin robotniczych założona w Kaliszu ma szersze zadanie, niż ramy Towarzystwa dobroczynności: chce społeczeństwu dostarczać „zdrowych, silnych i fachowo uzdolnionych pracowników“ oraz zmniejszyć do minimum liczbę włóczęgów „lub wyrobników bez stałego zatrudnienia i fachowych uzdolnień.“ Nadto, ma ona być ową życiodajną kroplą, co spadając na obumarły grunt drobnego przemysłu, do życia go wskrzesi. Sale te urządzone zgodnie z wymaganiami hygieny będą przytułkiem dla dzieci obojga płci w wieku od lat 11 do 14, tj., takich, które opuściły ochronki, lecz nie znalazły dostępu do szkół elementarnych lub nie mogą być przyjęte do fabryk. Prócz tych, znajdą w nich pomieszczenie takie, które nigdy nie będąc w ochronce, zostają bez opieki, ale tylko o tyle, o ile szczupłość przestrzeni i funduszów na to pozwoli. Na początek przyjętych będzie nie więcej, niż 20, w połowie chłopców i w połowie dziewczynek. Prócz opieki otrzymają one naukę od najmowanych majstrów lub szwaczek. Chłopcy kształcić się mają w koszykarstwie, wyrabianiu der, dywaników i chodników ze skrawków sukna, kapeluszy słomkowych, słomianek; dziewczęta zaś: szycia, haftów, cerowania, prania, prasowania i gotowania. Wszystkie dzieci dostaną 3-kopiejkowy obiad z taniej kuchni (tj., zupę na rosole, okrasie lub z mlekiem i $^1/_4$ funta chleba pytlowego). Pracować będą wiosną i latem

od 9 do 12 w południe i od 1 do 5-ej po południu, w jesieni zaś i zimie od 1 do 4-ej.

Podobne sale istnieją już w Kielcach (na 60 dzieci) i Piotrkowie (mieszczą 100 dzieci). Zakładane w Kaliszu są wyrazem postępów coraz bardziej organizującej się dobroczynności w tem mieście. Towarzystwo wydawało wpierw biednym wsparcia pieniężne stałe: wypłacało rocznie 50 do 60 rodzinom co miesiąc po 2, 3 i 4 ruble; udzielało kilkuset rodzinom jednorazowych zasiłków po 6 i więcej razy rocznie, wspierało nędzę wstydzącą się żebrać, udzielało pożyczek bezprocentowych niezamożnym rzemieślnikom, zmniejszyło „znakomicie“ żebractwo uliczne i —co godniejsza uwagi— corocznie jednego *sierotę* umieszczało u rzemieślników dla nauki. Teraz więc sale zarobkowe dla dzieci są tylko jednym krokiem dalej postawionym w tym kierunku. Jeśli tę nową a młodocianą gałązkę dobroczynności kaliskiej w należytej mierze zasilać będzie rosa filantropii, to ona nie zwiędnie przed czasem, lecz rozwinąwszy się, wyda taki owoc, jaki może. Nie usunie zła, przeciw któremu jest głównie skierowana, mianowicie ludzi pozbawionych pracy, a w następstwie tego — włóczęgostwa, ale uzdolni kilkudziesięciu synów wyrobniczych do zajęcia miejsc wakujących u warsztatów.

Drugą instytucyą filantropijną, będącą dopiero w poczęciu, jest obmyślony przez komitet wsparć żebraczych t. z. „dom przytułku i pracy“ przy Tow. Dobroczynności w Piotrkowie. Będzie to prawidłowo urządzony tajnik, gdzie znajdą pomieszczenie „wyrzutki“ społeczne, to jest ci z żebraków ulicznych czyli potomków niegdyś szanownych i może dostatnich ludzi, którzy jeszcze nie zeszli na ostatni szczebel włóczęgostwa — nie zwyrodnieli doszczętnie i nie utracili jeszcze nieodwołalnie chęci do pracy. Przyjęci do projektowanego zakładu, zostaną zatwierdzeni pracą według sił i możności. Jedna część zarobku dostanie się im samym, druga przeznaczona będzie na utrzymanie przytułku — obie będą ulgą kieszeni obywateli miasta: kupców, kamieniczników i majstrów. Na początek ta pompka filantropijna wessie w siebie tylko 20 osób, zupełnie niedołężne żebractwo schowane zostanie w Domu kalek i starców i tylko tym wolno będzie zajmować się po babieńcach i cmentarzach sprzedażą „paciorków“ za „dusze zmarłych,“ którzy otrzymają od Towarzystwa na to patent — to jest, znak stosowny.

Pabjanice także toczą walkę z żebractwem na swój sposób. Ponieważ, jak mówi korespondent *Tygodnia*, „zgraja ta złodziei i pijaków dotąd zbierała się ze wszystkich okolicznych wiosek i nachodziła domy od rana do wieczora w ciągu całego tygodnia,“ przeto wskutek rozporządzenia burmistrza wszystkich obcych żebraków odesłano na miejsce urodzenia, zaopiekowano się zaś tylko miejscowymi. Wyznaczono z pomiędzy dziadów mających prawo żebrać jednego, który zbiera jałmużnę i odnosi ją do magistratu, gdzie przez urzędników z burmistrzem na czele — jest w każdą środę dzieloną między ubogich. Skutek tej reformy jest bardzo smutny dla tych ostatnich. Dawniej każdy dziad dostawał tygodniowo około rubla, obecnie dostaje zaledwie 50 k. Ponieważ z drugiej strony obywatele pobijaniccy mało jeszcze dbają o klucz jałmużny do wrót niebieskich i słabo są ożywieni duchem filantropii, przeto dla żebraków otwierają się dwie perspektywy: śmierć głodowa lub przywrócenie dawnego stanu rzeczy.

Filantropia, dotrzymuje kroku, jeśli jej nie prześcignie wkrótce — nasza współdzielczość. Duch stowarzyszeń coraz głębiej zaczyna przenikać w nasze życie społeczno-ekonomiczne i ścierać z niego coraz wyraźniej cechujące je luźność i bezkierunkowość. Stowarzyszenia spożywcze, mnożące się stale w różnych okolicach kraju, spółki ziemiańskie (rybne, chmielarskie, przeciwogniowe itp.) — oto są niewątpliwe dowody tego zwrotu. Zmienione zaś warunki rynkowe rolnictwa, pchające je na tory industryalizacyi zapowniają przyszłość temu ruchowi. Najświeższym jego objawem jest niedawno zawiązana w lubelskiem spółka plantatorów buraczanych. Co ich do tego skłoniło? Wysoce znamienną dla tego zjawiska odpowiedź daje *Gazeta rolnicza*. „Wskutek ograniczeń fabryk cukru, spowodowanych zmową cukrowni, wielu rolników pozbawionych zostało w znacznej części dochodów, jakie mieli z buraków. U nas, w Lubelskiem, stało się to w okolicach nowopowstałej cukrowni „Opole Lubelskie.“ Założona zrazu na większy rozmiar, potrzebowała rozszerzyć promień plantacyj; nie skąpiła też zachęty dla rolników, dalej nawet od cukrowni położonych, dodając do cen zwykle praktykowanych pewien dodatek za przewóz, uwzględniając odległość transportu. Przystąpiwszy następnie do konwencyi cukrowników, uzyskała tak małą normę, że dalszym plantatorom nie było możności odmówić kontraktów, a urządzony dla nich skład w Józefowie nad Wisłą, zamknęła. Plantatorowie urządziwszy gospodarstwa swoje odpowiednio do nowych warunków, po latach kilku znów powracać musieli do dawnych, co nie obeszło się dla nich bez strat znacznych i zawodów.“ Żeby więc wyrównać dochód, wpadli na myśl założenia własnej cukrowni. Wprawdzie drżały z początku ich serca niebohatersko wobec braku półmilionowego kapitału, bez którego przedsiębiorstwo nie mogło powstać, ale przekonawszy się, że ich celom równie dobrze odpowie mała, od 40 — 60 tysięcy korców buraków przerabiająca cukrownia, zawiązali spółkę dla budowy i eksploatacyi małej w Piotrowinie nad Wisłą. Będzie to pierwsza w kraju mała cukrownia, założona przez zespolonych rolników. Jest nadzieja, że ta nowa u nas próba, jeśli ją tylko dobry uwieńczy skutek, nie długo pozostanie bez naśladowców.

Z. Atanazy.

ROZPORZĄDZENIA RZĄDOWE.

Prawit. Wiestnik ogłasza następujące ważne rozporządzenie, mające zapobiedz wielce rozkrzewionym nadużyciom:

„Najjaśniejszy Pan raczył zwrócić uwagę na powtarzające się często wypadki wykroczenia przeciwko prawu, wzbraniającemu składania podarków osobom, stojącym na czele różnych instytucyj, oraz obchodzenia jubileuszów bez zastosowania się do przepisów obowiązujących.

„Z mocy art. 663-go t. III-go Zbioru praw: „zabrania się składania wszelkich podarków osobom naczelnym, bądź to zbiorowo przez stowarzyszenia lub stany, bądź też przez jednostki w jakiejkolwiek formie, to jest w formie stawiania pomników, zawieszania portretów, składania adresów lub składek pieniężnych.“

„Następnie prawo z d. 6-go lutego st. st. 1376-go r. uzupełniło przepis powyższy w sposób następujący:

„1) Obchodzenie jubileuszów osób, pozostających w służbie rządowej, jako też zajmujących stanowiska w instytucyach, przez rząd zatwierdzonych, towarzystwach dobroczynności i wszelkich innych, zostających pod władzą instytucyj rządowych, nie może się odbywać bez uprzedniego zezwolenia władz wyższych.

„2) Bez pozwolenia władz wyższych nie są dozwolone żadne składki na podarki z okazyi jubileuszów. Zabrania się stanowczo wszelkich składek pomiędzy osobami, zostającemi pod władzą lub w zależności służbowej od jubilatów.

„3) Zabrania się także obchodzenia jubileuszów w terminach dowolnych. Za terminy dozwolono należy poczytywać: *a)* dla osób, które bez przerwy stały na czele danej instytucyi niemniej, niż lat 25, a dla osób wojskowych czas pozostawania w rangach oficerów niemniej, niż lat 50; *b)* dla instytucyj, towarzystw lub stowarzyszeń niemniej, niż lat 50 istnienia.

„4) Obchodzenie jubileuszu nie powinno być pretekstem do przedstawiania do nagród.

„Bez względu na tak wyraźne i kategoryczne brzmienie prawa, wykroczenia przeciwko niemu nietylko zostają dozwolone, ale nawet stają się niejako faktem normalnym, a wiele z nich prasa podaje do wiadomości ogółu. Obchodzą się jubileusze 25-letnie, a nawet i inne w terminach, obranych dowolnie, osoby naczelne otrzymują od podwładnych sobie różne podarki, albo organizują się stypendya, zawieszają obrazy świętych, podają się adresy, albo odczytują mowy. Częstokroć uroczystości tego rodzaju urządzane bywają bez pozwolenia władzy wyższej, wobec milczącej zgody osoby, na której cześć obchód się odbywa.

„Uroczystości tego rodzaju sprowadzają niewątpliwie rezultaty demoralizujące. Inicyatywa wypływa zwykle od podwładnych, wyróżniających się uległością i dążących do pozyskania w ten sposób łask zwierzchnika lub awansu w służbie; skoro zaś zjawia się propozycya co do składek na prezent lub stypendyum, wówczas młodsi urzędnicy zniewoleni bywają do dźwigania ciężkiego dla wielu brzemienia, byleby tylko odmową nie obrazić osób, na których cześć ma być urządzona uroczystość, uciążliwa dla wszystkich, z wyjątkiem tych, którzy widzą w tem korzyść własną i którzy szerzą w sferze urzędniczej zgubną sztukę fałszu i pochlebstwa.

„Niestety, fakty tego rodzaju objawiają się i w sferze zakładów naukowych. I tu zdarzają się wypadki składania darów zwierzchnikom nietylko przez nauczycieli, lecz i przez wychowańców, wskutek czego biedni nawet rodzice muszą składać wymuszoną daninę, byleby tylko nie narazić dzieci na skutki cofnięcia się lub odmowy udziału w składce.

„O takich wypadkach wyższa władza częstokroć nie wie, gdyż wszystko odbywa się po cichu, w murach zakładu. Niezaprzeczoną jest rzeczą, że wszystkie prezenty i dary tego rodzaju oddziaływają w sposób demoralizujący na nauczycieli, a w szczególności na dzieci, powierzone ich pieczy.

„Wobec nieustających wykroczeń przeciwko ścisłemu brzmieniu prawa o obchodzeniu jubileuszów, oraz składania zabronionych przez prawo darów, Najjaśniejszy Pan rozkazać raczył: zalecić ponownie wszystkim wydziałom i zarządom, że osoby naczelne winny mieć baczny nadzór nad ścisłem stosowaniem się do praw obowiązujących i nie powinny pozwalać na żadne wyjątki lub modyfikacye.“

KRONIKA

Wiadomości administracyjne. *Warszawskij Dniewnik* pisze: W końcu roku zeszłego z rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych wprowadzono niektóre zmiany w ustawach klubów w miastach gubernialnych i powiatowych kraju Nadwiślańskiego, w celu zbliżenia tych ustaw do ogólnej normalnej dla klubów w Rosyi i zapewnienia odpowiedniego wpływu przedstawicielom towarzystwa ruskiego w miastach tutejszych na zarząd i sprawy klubów. Obecnie poruszono sprawę ustawy niektórych resurs warszawskich, jak np. klubu Myśliwskiego, resursy Obywatelskiej i Kupieckiej i zastosowania ich do normalnej ustawy klubów w Rosyi. Trzeba zwrócić uwagę na to, że ustawy te wypracowywane były bardzo dawno (np. resursy Obywatelskiej między r. 1820 a 30-ym). Nadto

powstał zamiar rozciągnięcia kontroli nad niektóremi z towarzystw tutejszych, jak „Harmonia,“ Towarzystwo farmaceutyczne, Muzyczne i Oddział warszawski popierania ruskiego przemysłu i handlu.“

— Komisya zajmująca się zjednoczeniem Finlandyi z Rosyą pod względem monetarnym, ukończyła już swe zajęcia i przystępuje do ujednostajnienia przepisów celnych finlandzkich.

— Ministeryum skarbu złoży wkrótce w Radzie państwa projekt prokuratoryi finansowej na wzór podobnych instytucyj w Austryi i Włoszech.

Sprawy społeczne. Tak zwana „wenta,“ urządzona w tych dniach w sklepie przy ul. hr. Berga, przyniosła ogółem 1416 rs. dochodu na rzecz Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami.

— Po szczegółowem sprawdzeniu długów lichwiarskich pracowników Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie okazało się, iż potrzeba 80,000 rs. na pokrycie tych należności. Podobno mają być czynione starania o doprowadzenie do powyższych rozmiarów funduszu przeznaczonego na ten cel.

— Towarzystwo wolno ekonomiczne w Petersburgu zakłada biuro dla zbierania wiadomości o zapotrzebowaniu rąk roboczych w różnych miejscowościach.

— Wkrótce przedstawiony będzie do rozpatrzenia władzy projekt ustawy nowej arteli kobiecej w Petersburgu dla wyrobu bielizny męzkiej i sukien damskich.

— Ministeryum sprawiedliwości przekształciło ustawę kasy pomocy adwokatów przysięgłych. Według tych zmian, na zebraniach uczestników kasy przewodniczyć ma prezes izby sądowej z urzędu.

— Rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie przyjęła zapis ks. J. Borzęckiego 1000 rs. dla wychowańców domu podrzutków przy szpitalu Dzieciątka Jezus.

— Dom, w którym wykryto Skublińską, nabyła p. Baumanowa, w celu odstąpienia go na własność szpitalowi dla dzieci przy ul. Ślizkiej. Na posesyi tej będzie urządzony ogródek dla dzieci rekonwalescentów.

— Władza wyższa przychylnie przyjęła podanie o utworzenie kasy pożyczkowo-wkładowej urzędników, zajętych czasowo przy kanalizacyi i wodociągów w Warszawie.

— Na czwartą kuchnię tanią przy ul. Żelaznej kolej Wiedeńska ofiarowała 500 rs.

— P. Wincenty Szymański, kandydat nauk matematycznych, otwiera w Warszawie zakład poprawczopedagogiczny. Założyciel posiada na ten cel 50,000 rs.

— Gubernator piotrkowski wydał następujące rozporządzenie: 1) aby wszyscy robotnicy w gub. piotrkowskiej byli zaopatrzeni w imienne książeczki zarobkowe dla oznaczania warunków najmu, tudzież zapisywania zarobków i kar; 2) aby zarządzający fabrykami lub kantory fabryczne po wydaleniu robotnika nie zatrzymywali jego dowodów pobytowych i świadectw; 3) aby warunków najmu robotników nie zmieniano bez zawiadomienia na dwa tygodnie przedtem; 4) aby we wszystkich fabrykach wywieszone były przepisy i 5) aby wykonywano postanowienia wszystkich paragrafów ustawy fabrycznej.

— W sprawie zabójstwa Opuchlaka sąd przysięgłych we Lwowie skazał zbrodniarkę Kobrynową na karę śmierci. Skazana ma prawo do łaski monarszej.

— Projektowane jest zakładanie wielkich kolonij w okolicach jezior centralno-afrykańskich, w celu skierowania tam emigracyi niemieckiej.

— *Herald* ogłosił korespondencyę z Pacahontas (Wirginia zachodnia), malującą okropny los wychodźców polskich i węgierskich, których wypędzają do robót na pustkowia pod ścisłą strażą i groźbą kary śmierci.

Szkoły. Oprócz powstającej szkoły ogrodniczej w Częstochowie, pod zawiadywaniem ministeryum dóbr państwa, będą założone dwie niższe pod zwierzchnictwem ministeryum oświaty. Pierwsza, jak przypuszcza *Kuryer warsz.*, powstanie w Nowej-Aleksandryi (Puławach), druga — w Warszawie przy ogrodzie pomologicznym.

— Departament przemysłu i handlu zamierza otworzyć w kilku miastach szkoły rysunku technicznego.

— *Swiet* zapewnia, iż w sferach kupieckich poruszono sprawę wprowadzenia w szkołach handlowych języków wschodnich, dla przygotowania odpowiednich agentów dla obsługiwania agentur na Wschodzie.

— Egzaminy na stopnie nauczycieli odbywać się będą przed 13-ym maja r. b. Podania należy wnosić w Warszawie, na imię kuratora okręgu naukowego, na prowincyi — na imię dyrektorów gimnazyalnych lub inspektorów progimnazyów. W tych ostatnich składać można egzamin tylko na niższe stopnie nauczycielskie.

— W gub. petersburskiej powstaje warsztat wzorowy, w celu przysposobienia majstrów, budujących maszyny rolnicze dla użytku włościan.

— W jesieni r. b. powstanie w Petersburgu pierwsza szkoła dla zegarmistrzów.

— Przy krakowskiej szkole przemysłowej otwarto kursy dla maszynistów.

Komunikacye. Na kolei Petersburskiej czynią się przygotowania do prób z ulepszonym telefonem między Warszawą a Grodnem i Wilnem, następnie między Wilnem, Dynaburgiem i Petersburgiem.

— Próby połączenia telefonicznego między Londynem i Marsylią powiodły się zupełnie.

— Na pogłębienie koryta Dniestru i usunięcia przeszkód, tamujących żeglugę, ministeryum komunikacyi przeznaczyło 200,000 rs.

— Lwowska izba handlowa stara się o powiększenie funduszów na regulacyę rzek galicyjskich.

— W Krakowie 22 maja zbierze się komisya, złożona z inżenierów, delegowanych przez rząd ruski i austryacki, którzy spotkają się następnie w Warszawie. Zadaniem komisyi będzie: określenie normalnych linij regulacyjnych na obu brzegach granicznych części Wisły i Sanu, plan i kosztorys robót regulacyjnych.

Przemysł i handel. Na Nowej Pradze powstaje fabryka octu zbożowego.

— Ministeryum dóbr państwa zaprojektowało szereg nowych środków, celem poparcia jedwabnictwa. W guberniach południowych mają być otwarte wzorowe szkoły jedwabnictwa, tudzież zakłady hodowlane.

— W pow. charkowskim zaczęło się szybko rozwijać jedwabnictwo. Rozdano włościanom kilka tysięcy sadzonek z fermy szkoły rolniczej w Humaniu.

— Na zjeździe cukrowników w Kijowie postanowiono podnieść cenę rafinady o 20 kop. na pudzie.

Wypadki. Na kolei Bałtyckiej nieopodal od Gatczyna spotkał się pociąg pocztowy, idący z Rewla, z pociągiem towarowym. Niektórzy z podróżnych i służby pociągowej zostali kontuzyonowani. Podobno przyczyną wypadku był nagły obłęd maszynisty, który wyruszył ze stacyi bez sygnału.

Zmarli. Józefin Soulary, w Lyonie, poeta francuski.

— Herman Kate, malarz holenderski.

— Dr. August Schenk, profesor botaniki na uniwersytecie lipskim.

— Józef Kervyn de Letternove, historyk belgijski, w Bruksell.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 12 Апрѣля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.